Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII | Niedziela, dnia 4 czerwca 1939 r. | Nr. 23



Ewunia niesie Bozi kwiatki

Narzeczona z Szanghaju

POWIEŚĆ

Znalazłszy się na dworcu, na swoje szczęście złapali pociąg do Szimonoseki i wsiedli dnń nawet bez biletów, gdyż nie było na to czasu. Zapłacili za przejazd już w pociągu i dopiero gdy pociąg oddalił się znacznie od Kobe, odetchnęli nieco.

Lecz gdy o godzinie jedenastej w nocy Corbin wyszedł na korytarz, aby wypalić papierosa, wzrok jego spotkał się ze wzrokiem w siebie utkwionym — Yisziki. Patrzyła na niego najzupełniej obojętnie, jak by go nawet nie widziała, ale Corbin'owi się wydało, żo ona tylko na niego jednego patrzy. Poczuł w pewnej chwili duszącą pętlę na szyi. Otworzył okno, aby zaczerpnąć nieco świeższego powietrza, ale Yisziki z oka nie spuścił. Pomacał nawet rewolwer w kieszeni i ten dotyk zimnej przywrócił mu nieco równowagi.

Wszedł do przedziału, zasłonił okna i wtedy dopiero powiedział do Danieli:

— Yiszika nas konwojuje.

Daniela poruszyła się nerwowo.

— Widział ją pan?

— Przed chwilą, jedzie tym samym wagonem co i my.

Panna Berthier opadła ciężko na poduszki i przymknęła na chwilę oczy.

XXIII.

DROGI THOMPSONA

Kiedy klapa w podłodze, zakrywająca tak dobrze zamaskowane wejście do podziemi, zapadła się nagle, Thompson zjechał gwałtownie do jakiegoś podziemnego lochu i skutkiem upadku stracił zupełnie przytomność. Nie wiedział więc długi czas co się z nim stało i co się działo. Ale zawsze uprzejmy i uśmiechnięty Kiusziu przygotował wszystko tak starannie, precyzyjnie i z taką starannością, że nie mogło wcale stać się tak, aby jego jeniec został w dalszym ciągu na miejscu, na które spadł. Nie. W podziemiach czekali już na niego ludzie uśmiechniętego kapitana i natychmiast, gdy tylko spadł, porwali go na ręce i z wielkim pośpiechem unieśli z sobą w jakieś nieznane miejsce podziemi.

Jak długo go nieśli, z tego Fryderyk nie zdawał sobie zupełnie sprawy, był nieprzytomny i nie czuł absolutnie nic. Tymczasem znowu Kiusziu, złapawszy w sposób tak przemyślny zbiegłego mu jeńca i słysząc gwałtowne dobijanie się do drzwi, skoczył w najbliższe drzwi, prowadzące w kierunku jemu tylko znanym i zniknął tak dokumentnie, że gdyby Morton był go nawet szukał w tych zakamarkach, nie byłby z całą pewnością nic odnalazł. Kiusziu najformalniej zapadł się jakby pod ziemię.

Fryderyk obudził się na jakichś worach i poczuł ostry ból w całym krzyżu i szyi. Pomacał obolałe miejsca i doznał jeszcze przykrzejszej dolegliwości.

— Skręciłem widać szyję i stos pacierzowy — pomyślał i otworzył oczy.

Mdła lampka elektryczna oświetlała gdzieś z komory, w której się znalazł. Rozejrzał się raz i drugi, otworzył szeroko oczy i uwierzyć nie mógł w prawdę tego, co zobaczył. Oto dokoła piętrzyły się całe stosy najprzeróżniejszych worów i pak, a na wszystkich były znaki wojskowe japońskie. Thompson od razu domyślił się, co te pakunki zawierają. Nigdzie jednakże nie dostrzegał najmniejszego nawet śladu obecności ludzi. Nie wiedział więc, czy znajduje się na tym samym miejscu, na które spadł przez lukę, czy też w jakimś innym zakamarku podziemi.

Spróbował powstać i z trudem wielkim udało mu się to. I znowu rozejrzał się dokoła z jeszcze większą ciekawością. Mimo dotkliwego bólu stosa pacierzowego i szyi, mimo nawiedzających go ustawicznie zawrotów głowy, Thompson zrozumiał jed nak wszystko z zadziwiającą jasnością. Te zapasy wojskowe wszelkiego rodzaju powiedziały mu więcej, niżby zdolne były to uczynić słowa.

— A więc to tak się przedstawia cała ta sytuacja? — pomyślał. — A więc to tak? I Chińczycy wierzą jeszcze w jakiekolwiek sukcesy na terenie Szanghaju? Ttuj, do diaska!

Ruszył w kierunku mdłego światełka, błyszczącego w otworze podziemnego tunelu przed nim. Szedł na pamięć, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, w jakim kierunku się udaje. Chińczycy mają niejako kompas we krwi i nawet w podziemiach potrafią prawie z zupełną pewnością określić strony świata. On jednak nie potrafił tego uczynić. Szedł przed siebie, bo to przyjście, jak mu się wydało, było jedynym, którym iść można było. Nigdzie jednak nie spostrzegał w dalszym ciągu ludzi. W pewnej chwili jednak do jego uszu dobiegły odgłosy jakby strzałów. Zatrzymał się.

— Cóż to znaczy? Czyżby naprawdę strzelano? A jeżeli tak, to gdzie: w podziemiach czy nad ziemią?

Na te pytania nie mógł sobie odpowiedzieć.

Poszedł dalej. Minął jedną i drugą przecznicę podziemnego przejścia, prowadzącą gdzieś w tajemniczą dal, przeszedł parę korytarzy i prawie nagle znalazł się w wielkiej komorze pełnej wojska. Po mundurach poznał z kim ma do czynienia i zrozumiał, że znajduje się, niestety, w rękach swych dotychczasowych prześladowców.

Na widok nadchodzącego „białego diabła" z kupy worów i pak powstał młody człowiek i podszedł do niego.

— Czekaliśmy tu na pana — powiedział z nieodstępnym uśmiechem na wąskich ustach. — Jestem porucznik Horah — przedstawił się — i mam pana, mister Thompson, odprowadzić do dowództwa.

Fryderyk słuchał tych słów, wypowiadanych w poprawnej angielszczyźnie i w pierwszej chwili niewiele z nich rozumiał. Po chwili jednak pojął je i z kolei zadał pytanie:

— Gdzież ja się znajduję?

— W podziemiach Szanghaju, mister — odpowiedział porucznik.

— A kapitan Kiusziu? Gdzież on jest?

— Kapitan Kiusziu? Nie znam takiego kapitana, master. Czy istotnie był z panem kapitan Kiusziu?

Thompson spojrzał tak dziwnym wzrokiem na porucznika, jakby mu chciał wyrazić nim: nie rób pan wariata. W końcu jednak nie powiedział nic, ale zapytał:

— Po cóż ma mnie pan odprowadzić do dowództwa?

— Nie wiem. Nie jest moją rzeczą dociekać, co od pana życzy sobie dowództwo. Zapewne powiedzą to panu na miejscu.

— Ba, więc chodźmy tam — zgodził się rezygnacyjnie Fred.

Porucznik Horah skinął na dwóch żołnierzy i ci wzięli między siebie Thompsona. Porucznik poszedł przodem, oświetlając chwilami wnętrze podziemi elektryczną latarką, zwłaszcza w miejscach, gdzie nie było żadnych stałych innych świateł.

Po drodze Fred miał możność przyjrzeć się całemu szeregowi najciekawszych



Na Wystawie Światowej w Nowym Jorku odbyło się uroczyste otwarcie pawil. polskiego



W dniu 17 bm. zmarł nagle na udar serca w 78 roku życia śp. ks. biskup sufragan gnieźnieński Antoni Laubitz

urządzeń w tych podziemiach. Widział więc sieć wąskotorowej kolejki, ciężkie działa przetaczane na platformach ciągnionych elektrycznymi maszynami, liczne komory pozamykane na żelazne kłódki i odgrodzone od świata zewnętrznego żelaznymi, silnymi zapewne drzwiami. Dalej całe urządzenia elektryczne i wszędzie pełno wykuszów i miejsc na karabiny maszynowe. Spodziewał się też, że cały ten świat podziemny musiał być w każdym metrze podminowany, a miny te znane były jedynie tym, którzy je tu posadzali. W miarę posuwania się naprzód Fred coraz szerzej otwierał oczy i coraz większe zdumienie go ogarniało. W tej chwili czuł się więcej Anglikiem, niż kiedykolwiek i rozumiał dobrze niebezpieczeństwo, jakie grozi przede wszystkim Anglii na tym terenie.

Szanghaj jest najdziwniejszym miastem na świecie. Jest to miasto — spekulant i gdyby leżało ono w Europie, splajtowałoby od dawna. Tutaj jednak trwa i pewnie trwać będzie jeszcze dość długo. I również tak długo będą trwać przywileje „obcych diabłów". Przynajmniej do chwili zajęcia go w całości przez Japończyków. Szanghaj, to pasożyt, obciążony mnóstwem międzynarodowych umów. Wysysa on bez trudu srebrne dolary z coraz większej drożyzny chińskiego importu i tyle się przyczynia do powodzenia Chin, ile orchidea do zdrowia drzewa, na którym się rozrasta.

Szanghaj jest dziwnym miastem. Do białych panów; tutaj należą podatki od gruntów i lokali, zamieszkałych przez półtora miliona Chińczyków, oraz cała tania praca tych żółtych ludzi. Biały kupiec tutejszy siedzi w samochodzie, jego urzędnik w rikszy, a Chińczyk, obywatel tego kraju i jego właściciel, poci się, ciągnąc wehikuł. I ten żółty obywatel nie może się oprzeć żądaniom ludzi białych, którzy przychodzą do niego i popierają je kanonierkami, krążownikami, torpedowcami.

Szanghaj jest cennym brylantem w koronie dochodów i zysków angielskich, jest jakby angielską kolonią, której zadaniem jest przynosić ofiary na stół angielski, nic od białych panów w zamian nie otrzymując.

I oto zanosi się na to, że to najdziwniejsze pod słońcem miasto, to żółte drzewo na którym wyrastają najpiękniejsze orchidee dla ludzi białych, ma upaść przejść w ręce przedsiębiorczych Japończyków, którzy ograniczą do minimum zachłanność białych przybyszów i nie pozwolą na żadne międzynarodowe umowy, pozwalające na bezkarne grabieże.

Thompson zrozumiał w tej jednej chwili, że Albion jest bardzo mocno zagrożony w Szanghaju. Ale nie tylko sam Albion. W jednakowej mierze zagrożone tu są interesy wszystkich państw białych. Biali przestają Azjatom imponować. W Chinach biją białych i to tak skutecznie, aż pewnie w piekle słychać. A jednak biali przybysze nie chcą dotąd tego zrozumieć. Czy zbudzą się jednak na czas?

Rozmyślania te przerwał Fryderykowi porucznik Horah, zatrzymując żołnierzy i zwracając się z uśmiechem do niego w formie informacji:

— Jesteśmy na miejscu, master.

— Na miejscu? Gdzież więc to dowództwo się znajduje?

— Za chwilę znajdzie się pan tam.

Porucznik zastukał do jednych z licznych drzwi żelaznych i te po chwili się otwarły, a w ich obramieniu stanął żołnierz.

— Oto jesteśmy — powiedział jeszcze Horah. — Pan zechce tam wejść, master.

Popchnięty z lekka, Fryderyk wszedł do piwnicy, czy też schronu. Horah ze swymi żołnierzami został na zewnątrz. Po chwili jakiś żołnierz japoński podszedł do niego i poprosił go za sobą. Ruszyli podziemnym tunelem w jakąś nieokreśloną dal. Było tu tak widno od licznych lamp elektrycznych że można było zupełnie swobodnie znaleźć szpilkę w prochu na ziemi. Tym razem droga ich była długa. Niebawem bowiem znaleźli się w obszernym schronie, gdzie siedziało kilku oficerów. Podziemie to urządzone było wygodnie i nawet z pewnym gustem. Na środku, na olbrzymim stole leżał jakiś wielki plan, na którym pewne miejsca poznaczone były różnobarwnymi małymi chorągiewkami. Na ścianach wisiały liczne aparaty telefonów, przy których siedzieli żołnierze ze słuchawkami na uszach.

Żołnierz wprowadził tu Thompsona, zameldował coś jednemu z oficerów i oddalił się. Oficer tymczasem, załatwiwszy jakiś pilny snać papierek, odwrócił się do Thompsona.

— Proszę, niech pana siada, master — wskazał mu krzesełko polowe.

Fryderyk usiadł i ukradkiem przyglądał się całemu podziemiu. Wszędzie tutaj, jak i gdziejndziej, spostrzegał to, co najbardziej uderzało jego świadomość: doskonałe przyszykowanie Japończyków do zdobycia Szanghaju. Zależało im zapewne na tym podboju ogromnie, co i nie dziwne, jeżeli się zważy, że Szanghaj to największy port Chin, a kraj ten ma 440 milionów ludności. Przybijają tu prawie dzień w dzień tysiące statków, widnieją olbrzymie pałace, w których mieszczą się banki i sześciopiętrowe luksusowe hotele. Zarabia się w tym mieście olbrzymie sumy i łatwo też je się wydaje. Szanghaj, to najważniejszy klucz do Chin. Dlatego Japończycy przykładają ogromną wagę do jego zdobycia i opanowania.

— Mister Thompson — powiedział znowu oficer — po raz wtóry dostał się pan w nasze ręce.

— To prawda, dzięki podstępowi i łajdactwu człowieka, który mnie wciągnął w zasadzkę — odrzekł gniewnie Fred.

— Wojna rządzi się specjalnymi prawami — uśmiechnął się błogo oficer. — Niech nam pan nie ma tego za złe. Pan nam przeszkadza i dlatego musimy go się pozbyć. Może praktyczniej byłoby wysłać pana do krainy cieniów jego przodków, niewątpliwie, ale... nie jesteśmy mordercami.

— Co pan przez to chce powiedzieć?

Oficer znowu się uśmiechnął i nie odpowiedział wręcz na to pytanie, ale zaczął o czym innym.

— Niepotrzebnie pan wsadził swoje palce między drzwi japońskie i futrynę chińską. — mówił. Przekonał się pan chyba



W maju br. obecny rząd Rzeczypospolitej obchodził trzylecie swej pracy w niezmienionym składzie. Działalność rządu wykazała szereg wielkich sukcesów we wszelkich dziedzinach naszego bytu państwowego

już dostatecznie, że łatwo palce w takiej sytuacji przyskrzynić. I potrzebne to panu było?

— Co mianowicie?

— To wtrącanie się do rzeczy nieswoich. Był pan korespondentem, spełniałeś swoje obowiązki dłuższy czas wzorowo, zarabiał pan wiele, miałeś wyrobione stosunki i uznanie — i po co było wtrącać się do rzeczy nie swoich?

— Niech pan wyjaśni mi te kwestie bliżej — odrzekł na to Fred, nie tracąc nic ze swej buty angielskiej, tak powszechnej i jaskrawo występującej wszędzie, gdziekolwiek Anglik znajdzie się w morzu ludów kolorowych.

— Mówię przecie bardzo wyraźnie, czy mnie pan nie rozumie?

— Nie. Proszę o wyjaśnienie, o co jestem posądzony czy oskarżony, a wtedy dopiero będę mógł sprawę dostatecznie pojąć.

Jak pan sobie życzy, mister Thompson. Zdaje mi się jednak, że już to panu w swoim czasie powiedziano? Czy nie tak?

— Nic mi nie powiedziano i nie rozumiem zupełnie postępowania panów ze mną. Mój rząd upomni się o mnie z całą pewnością i panowie będziecie odpowiedzialni i niezawodnie poniesiecie konsekwencje za wszystko zło, jakie mnie z waszej strony spotka.

— Możliwe, możliwe, że do czegoś podobnego dojdzie, ale do tego jeszcze daleko. Mister Thompson, pan tak samo, jak pańscy biali bracia choruje na daltonizm. Nie rozróżnia pan barw rzeczywistości obecnej i wciąż panu się zdaje, że żyje w okresie wszechwładzy swojego państwa na Wschodzie. O tym, mister Thompson trzeba zapomnieć, bardzo szybko zapomnieć i spojrzeć prawdzie odważnie w oczy. Sytuacja się zmieniła i to bardzo wydatnie na naszą korzyść. My dzisiaj mamy nierównie dobre uzbrojenie, jak państwa europejskie. Japonia, to nie Chiny, na szczęście. Ale mniejsza: chcesz pan, bym mu wyjaśnił przyczynę jego zatrzymania po raz wtóry, więc służę. Otóż, jak powiedziałem pan nam przeszkadza. Związał się pan z madame Berthier, najzupełniej niepotrzebnie i ponosi tej znajomości konsekwencje. Wspólnie z madame Berthier zamordowaliście naszego człowieka w samotnym domku nad Jang-Tse-Kiangiem i skradliście mu wtedy bardzo ważne papiery. Gdzie one znajdują się teraz? Komu je pan odstąpił? Czy swojemu Inteligence Service, czy wspólnemu wywiadowi anglo-francuskiemu? Jeżeli pan nam to zdradzi i papiery te znajdą się ponownie w naszych rękach, będziesz mógł być uwolniony, ale pod warunkiem że najbliższym statkiem odjedziesz do Europy. W przeciwnym razie...

— Cóż w przeciwnym razie?

— Może być z panem i z pańską towarzyszką bardzo źle.

Thompson uśmiechnął się ironicznie.

— Dziwne pan masz wymagania, kapitanie — odrzekł. — Sam wiesz doskonale, że ja nic nie miałem wspólnego ze sprawą śmierci pańskiego ziomka w samotnym domku i o żadnych skradzionych mu dokumentach nie wiem.

— Dlaczego pan mówi nieprawdę?

— Przeciwnie, to pan zarzuca mi rzeczy nierealne i niebyłe.

— Więc pan nie znasz madame Berthier?

— Owszem, tego nie zaprzeczam. Panna Berthier jest moją narzeczoną, to wszystko O niczym innym nie wiem.

Oficer wzruszył ramionami i zaczął zastanawiać się nad czymś. Twarz jego właściwie nie wyrażała absolutnie żadnych uczuć, ani żadnych myśli. Po chwili ożywił się znowu i powstał.

— Szkoda mi pana, mister Thompson — powiedział.

— Zbytek troskliwości, kapitanie — powstał również i Fred.

Kapitan przywołał jakiegoś drugiego, młodszego oficera i powiedział mu coś szeptem. Oficer wyszedł ze schronu.

— Pojedzie pan dość daleko, master — odezwał się znowu kapitan. — Posłałem po pewne rzeczy, które będą panu potrzebne.

Thompson drgnął. Domyślił się, że pod tym powiedzeniem: „Pojedzie pan dość daleko" należy rozumieć drugą, podobno lepszą stronę życia ludzkiego. Nie okazał jednak najmniejszego lęku przed możliwą śmiercią. Cóż, trudno, skoro trzeba umrzeć — umrze z godnością i nie okaże tym żółtolicym, że jakakolwiek obawa ma do niego przystęp. Nie mógł sobie jednak odmówić wygłoszenia uwagi:

— Uprzedzam pana, że śmierć moja zostanie pomszczona.

Najmilszy z uśmiechów ludzi Wschodu ubarwił usta japońskiego oficera i szczere zdumienie odbiło się na jego twarzy.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi — zdziwił się kapitan. — Wszakże nie idziesz pan na śmierć.

Fred nie odpowiedział już na to, ale poszukał papierosa w kieszeni i zapalił. Postanowił cierpliwie czekać na to, co będzie dalej. Jakoż niebawem przybył wysłany gdzieś młodszy oficer i przyniósł z sobą zawiniątko.

— Zechce się pan przebrać w te szaty, mister Thompson — uśmiechnął się znowu kapitan. — W tym będzie pan daleko lepiej wyglądał, niż w swoim mocno wypadkami pobrudzonym garniturze cywilnym.

Fred sięgnął po zawiniątko i rozwinął je. W rękach trzymał teraz mundur japońskiego porucznika.

— Mundur ten może wprawdzie ściągnąć na pana nienawiść jego chińskich przyjaciół — wyjaśnił oficer — ale dla nas będzie to tym lepsze.

Thompson popatrzył na niego, nie dorozumiewając się bynajmniej, co kryje się w tym wszystkim, ale niemniej ubrał się w mundur, jak go o to proszono i niebawem wędrował już podziemiami w jakimś nieznanym dla siebie kierunku.

Po pół godzinie wytężonego marszu między dwoma żołnierzami znaleźli się w miejscu, które mogło stanowić stację kolejki podziemnej. Niebawem nadjechały dwa wozy, przyczepione do elektrycznej lokomotywy. Do jednego z nich wsiedli żołnierze z Thompsonem i kolejka ruszyła szybkim pędem przed siebie. Upłynęło im na tej jeździe może dalsze pół godziny i oto gdzieś z góry zabłysnął snop światła dziennego. Tutaj kolejka zatrzymała się i wy-



Panie min. Bobkowska, Zaleska i Flynn podczas otwarcia wystawy



Min. Roman wygłasza przemówienie podczas otwarcia pawilonu polskiego na wystawie nowojorskiej

siedli z niej. Poprowadzono go jakimiś krętymi schodami do góry, potem podniosła się olbrzymia stalowa płyta i znaleźli się na obszernym dziedzińcu jakiegoś pałacu. Fred rozejrzał się z ciekawością i poznał miejsce, w którym się tak raptownie znalazł. Był to pałac japońskiego gubernatora, wspaniały marmurowy gmach dominujący nad innymi okolicznymi budynkami.

Oficer, który zjawił się natychmiast, gdy tylko Thompson ze swoimi żółtymi aniołami stróżami znalazł się na powierzchni, zabrał go i poprowadził do gmachu gubernatorstwa. Po drodze Fred skonstatował, że na ziemię schodzi już wieczór ciepły, chłodzony chwilami wiatrem nadbiegającym gdzieś z dalekich stepów wnętrza kraju. To było ostatnie jego wrażenie z Szanghaju.

Gdy znaleźli się w obszernej izbie gubernatorstwa, pierwszym, co Freda spotkało, to była kolacja. Całkiem europejska i nawet wykwintna kolacja.

Zachowując całkowicie zimną krew, obojętność i milczenie, Thompson zabrał się do jedzenia i niebawem spałaszował prawie wszystko, co mu podano. Umył ręce i zaczął przechadzać się po pokoju, nie zdradzając niczym, że nurtują go myśli niespokojne i drażniące. O Danieli nie wiedział nic. Gdzie ona się podziewa? Co się z nią dzieje? Czy żyje? Były to zagadki. Jego sprawa osobista nie obchodziła go w tej chwili tyle, co sprawa Danieli. Nie miał jednak i tym razem wiele czasu na rozmyślania, gdyż do pokoju wsunął się znowu ten sam oficer i oznajmił, że niebawem wyjadą z Szanghaju.

— Dokąd mnie panowie powieziecie? — spytał obojętnie prawie Fred.

— Dowie się pan na miejscu, mister — odrzekł Japończyk z uśmiechem. — Pozwoli pan jednak, że zawiążę mu oczy — zaproponował następnie. — Nie obawiamy się wprawdzie pana, ale lepiej będzie, gdy nie będziesz widział wszystkiego, co dzieje się po drodze czy w miejscach, które będziemy mijali.

Thompson wzruszył tylko ramionami i pozwolił robić z sobą wszystko.

W chwilę później, kiedy już miał oczy zawiązane, poczuł, że dwóch ludzi ujmuje go pod ramiona, a głos oficera wpadł mu znowu w ucho:

— Proszę iść z ludźmi, którzy poprowadzą.

Fred poszedł bez sprzeciwu. Czuł, że wsadzają go do jakiegoś wehikułu, to znowu, jak samochód rusza z miejsca. Jechali samochodem — to Thompson wiedział, albo przynajmniej domyślał się, że wehikuł jest samochodem, ale dokąd? Tego nawet się nie domyślał. Nie rozumiał jednak tych wszystkich ceregieli. Nic wszakże łatwiejszego, jak sprzątnąć go gdziekolwiek, choćby w owych podziemiach i nikt nigdy nie odnalazłby jego prochów, a Japończycy pozbyliby się zmory, którą on dla nich był. Mają przecie w swoich rękach Danielę, a ona wie daleko więcej, może nawet wszystko, co działo się w samotnym domku małego kapitana nad Jang-Tse-Kiang. Jeżeli ten kapitan istotnie posiadał owe tak ważne dla Japończyków dokumenty i papiery te zginęły, to niewątpliwie dostała je w swoje ręce Daniela. O ile, naturalnie, ona tam była owej krytycznej nocy.

Jeżeli Japończycy tak z nim nie postąpili, to zapewne musiał on im być na coś potrzebny. Ale na co? Bóg jeden raczy wiedzieć. Thompson przestał w końcu sobie łamać głowę nad tymi wszystkimi tajemnicami. Nie miało to najmniejszego sensu. Samochód widać w końcu dojechał do miejsca swego przeznaczenia, gdyż zatrzymał się i szofer zgasił motor. Drzwiczki wozu niebawem się otworzyły i jakiś głos powiedział:

— Proszę wysiąść, master.

Thompson uczynił zadość tej prośbie i wylazł z samochodu nie bez wydatnej zresztą pomocy dwóch konwojujących go Japończyków. Na gruncie stałym dwaj żółci aniołowie stróże ujęli go znowu pod ramiona i zaczęli prowadzić po jakichś schodach. Ruchliwość pomostu, po którym szli, zdradziła Fredowi, że wchodzą po pomoście na okręt. Przewidywanie to sprawdziło się w parę minut później, kiedy zdjęto mu opaskę z oczu. Rozejrzał się natychmiast pilnie i stwierdził, że znajduje się na okręcie wojennym — „Czikoku-Maru", jak przeczytał na jednej z szalup.

— Jesteśmy na miejscu, master — powiedział w tej chwili oficer, który go tutaj przykonwojował z dwoma innymi żołnierzami. — Pan tu zostanie.

Fred nie uważał nawet za potrzebne mruknąć w odpowiedzi. Przeszedł wolnym krokiem do przeciwnej burty i zapatrzył się na mętne i brudne niesłychanie wody Jang-Tse-Kiangu. Znał tę rzekę dobrze w tym miejscu, a jednak nigdy nie umiał się oprzeć podziwianiu jej. Jakaż bowiem ogromna była ta rzeka. Mętne jej wody, niosące żółty muł i błoto, płyną z Tybetu, z odległości 5 i pół tysiąca kilometrów, wpadając do Oceanu Spokojnego, a w jej dorzeczu mieszka dwieście milionów ludzi! Jest to królowa rzek: szeroka i tak bogata w wodę, że nawet statki 10,000-tonowe mogłyby płynąć w górę jej biegu całe tysiące kilometrów.

Nad Szanghajem zapadała noc. W górze mrugały gwiazdy, a w dole, niby na drugim niebie, iskrzyły się tysiące świateł w porcie. Z rzadka błyskało wśród nich światło białe, mocne, pierwszej wielkości: to reflektory angielskich kanonierek.

Thompson wiedział, że to one i na wspomnienie, że kanonierki te tak niezbyt dalekie są jednak dla niego w tej chwili nieosiągalne — ogarnął go żal i ból szarpał mu mózg bolesnymi myślami.

„Czikoku-Maru" przygotowywał się do odpłynięcia. Gdzie też zaniesie go ten obcy okręt? Jaki los zgotuje mu najbliższa przyszłość? Co z nim zamierzają zrobić Japończycy? Gdzie teraz znajduje się Daniela? Wszystko to były wielką niewiadomą którą dopiero życie miało rozwiązać.



Za wioską

Za wioską —
za małą,
za wzgórzem wspomnień —
piaszczyste dróg koleiny...

Za wioską —
za małą,
za chatką ubogą —
pozostał płacz wiejskiej dziewczyny.

Topole na drogach,
jak wzniosłe tęsknoty
w rozkwicie zieleni najpierwszej.
Płacz wiejskiej dziewczyny
rozszlochał się w drzewach
i przycichł w zadumie —
mych wierszy.

Józef Baranowski

XXIV

TRUP W POCIĄGU

Daniela siedziała w przedziale pociągu, zasunięta głęboko w poduszki, i przeglądała książkę, którą w pierwszym odruchu na wiadomość o bytności w tym samym wagonie Yisziki wyjęła z walizy. Nie czytała jej jednak, ale bezcelowo przeglądała ilustracje, nie widząc ich nawet. Cała jej istota znajdowała się w najwyższym naprężeniu nerwów, a słuch był czujny jak u leśnego zwierza. Parokrotnie dostrzegała kącikami oczu przesuwającą się przez korytarz Yiszikę i w pewnej chwili poczuła nawet, jak oczy Japonki spoczęły na niej badawczo i ciekawie. Oczy japońskie właściwie i nigdy nic nie zdradzają, ale tylko dla tego, kto nie zna ich dobrze. Daniela jednak znała dobrze wymowę oczu ludzi wschodnich, toteż i teraz zrozumiała spojrzenie Yisziki.

W przedziale panowało milczenie. Corbin przeglądał jakąś gazetę japońską w języku angielskim i nie zwracał uwagi na to wszystko, co dzieje się dokoła niego. Wydawać się mogło, że sprawa Yisziki, jej obecność tutaj i ewentualność nawet zaaresztowania ich obojga tak mało go obchodzi, że nie warto bynajmniej nad tym się zastanawiać. Ale był to pozór. Człowiek ten umiał tak znakomicie panować nad swoimi uczuciami, że najlepsi znawcy psychologii ludzkiej zawiedliby się byli na nim.

Po pewnym czasie, gdy wyczuł, że Yiszika odeszła gdzieś dalej, Corbin zasłonił się gazetą i szepnął:

— Wyczuwam przez skórę, że Yiszika nas śledzi.

— To pewne. Nie dała się zwieść zmianami naszych postaci.

— Cóż zrobimy, gdy przyjdzie kontrola?

— Oburzymy się, naturalnie.

— I co dalej?



Wspaniała gra reflektorów dwóch krążowników w porcie nowojorskim

— Powołamy się na naszego konsula. Rzesza niemiecka ma tutaj dzisiaj pewien dość poważny głos — może nam to co pomoże.

— Jeżeli szanowny pan kosul da się nabić w karafkę i uwierzy naszym papierom.

— Do niewiary nie ma najmniejszego powodu. Dokumenty mamy w porządku, nawet najbystrzejszy znawca tego rodzaju spraw nie byłby w stanie powziąć żadnego podejrzenia.

— Ha, więc czekajmy, co będzie na końcu tej zagadki.

I oboje państwo Müllerowie znowu pogrążyli się w lekturze, której jednak żadne z nich nie czytało. Udawali tylko, że zajęci są czytaniem, ale w gruncie rzeczy każde z nich myślało o jednej i tej samej sprawie.

W takim naprężeniu nerwów jecha'i wciąż naprzód, ale w miarę, jak pociąg pożerał przestrzeń i zbliżał się do Horoszima, a nic się nie stawało takiego, co by naprężenie nerwowe usprawiedliwiało, uspokajali się.

— Zdaje się — odezwała się w pewnej chwili Daniela — że wszystko to tylko nam się przywidziało.

— I mnie się tak zdaje — zgodził się Corbin.

Oboje odetchnęli z ulgą i postanowili zdrzemnąć się nieco. Daniela tedy zakręciła się w swój pled podróżny i wyciągnęła na ławce, Corbin nakrył się płaszczem i zwinął się w kłębek naprzeciwko. Po pewnym czasie jednostajny, kołyszący ruch pociągu uśpił ich. Nie obudzili się nawet na stacji w Horoszima, gdzie pociąg zatrzymał się dłużej i dopiero na połowie drogi między Horoszima i Szimonoseki obudził ich kontroler wojskowy.

— Bardzo przepraszam, że przeszkadzam w spaniu i wypoczynku — uśmiechał się młody człowiek w mundurze wojskowym — ale obowiązek kontroli zmusza mnie do tego. Poproszę państwa o dokumenty.

Corbin wyjął z portfelu dwa paszporty i podał je kontrolerowi. Daniela usiadła i obrzuciła ciekawym spojrzeniem wojskowego. Nie wyczuła w nim nic wrogiego. Wojskowy tymczasem, przejrzawszy pobieżnie paszporty, oznajmił, że przyśle je niebawem, a tymczasem zabiera dla przyłożenia na nich pieczęci. Po tych słowach wyszedł. W przedziale zapanowała długotrwałe milczenie.

— I cóż pan myślisz o tym wszystkim, monsieur Corbin?

— Najzupełniej nic.

Daniela się roześmiała.

— Rzeczywiście — rzekła — zachowujemy się jak dwoje dzieci schwytanych na zrywaniu wiśni w cudzym ogrodzie.

— A tymczasem powinniśmy zachowywać się poważnie i z dostojeństwem, jak na dwoje tak statecznych małżonków przystało.

Nagle po tych słowach Corbina rozległ się gdzieś opodal stłumiony, bolesny ludzki krzyk, potem dał się słyszeć upadek jakby ciała ludzkiego, zadudniły deski korytarza, trzaskały rdzwi i w jednej chwili w wagonie powstał rozgardiasz i hałas. Corbin pierwszy zerwał się z siedzenia i podbiegł do drzwi.

— Tam stało się coś niezwykłego! — zawołał. — Trzeba zobaczyć.

Agent wybiegł na korytarz, rozejrzał się po nim, a następnie szybkim krokiem ruszył w stronę przedziału, przy którym tłoczyło się już parę osób. Daniela, również nie mogąc się oprzeć ciekawości, poszła tam za nim.

I oto co zobaczyli: Na podłodze trzeciego od nich przedziału leżała Yiszika, cała we krwi. W piersi jej sterczał ostry sztylet chiński, wbity aż po rękojeść. Nadmiernie otworzone oczy rannej zdradzały całe morze bólu. Nieszczęsna Japonka żyła jeszcze, ale nie było nadziei utrzymania jej przy życiu. Niebawem zjawił się na miejscu oficer kontrolny i lekarz wojskowy. Wyproszono wszystkich zarówno z przedziału, jak i z korytarza i zabrano się natychmiast do ratowania zasztyletowanej. Daniela była ogromnie ciekawa, czy też Yiszika będzie żyła lub nie. Dlatego nie weszła do przedziału, ale stała dalej na korytarzu przy swoich drzwiach, czekając, aby zapytać o to przechodzącego oficera kontrolnego lub lekarza.

Tymczasem jednak zatrzymano pociąg i konwojujący go żołnierze rzucili się na poszukiwania za zbiegiem. Ale ten musiał już być bardzo daleko od miejsca spełnionej zbrodni. Pociąg więc stał w polu, lekarz ratował biedną Yiszikę, pasażerowie siedzieli apatycznie i obojętni, a żołnierze mikada szukali zbrodniarza. Trwało to około godziny. Po tym czasie wszystko wróciło do poprzedniego porządku i pociąg ruszył w dalszą drogę. Teraz pędził jak oszalały, starając się nadrobić stracony czas, a może pragnąc jak najszybciej dowieźć do Szimonoseki najcenniejszy ładunek — ranną Yiszikę. Okazało się bowiem, że ta dzielna Japonka nie umarła od razu po zadaniu jej ciosu sztyletem i nie umarła nawet później. Biedny lekarz musiał się tam solidnie napocić, aby utrzymać przy życiu taki skarb bezcenny.

Przed wjazdem na stację w Szimonoseki do przedziału Danieli i Corbina wszedł znowu ten sam oficer, co poprzednio, niosąc paszporty. Był tak samo spokojny i tak samo konwencjonalnie, lecz uprzejmie uśmiechnięty. Zachodziła tylko ta różnica, że za jego plecami znajdowali się dwaj uzbrojeni w karabiny z bagnetami żołnierze.

— Państwo wybaczą — powiedział niebiańsko uśmiechnięty oficer — ale muszę zakomunikować im nieprzyjemną nowinę — zmuszony jestem zatrzymać państwa i przekazać w Szimonoseki, gdyż paszporty ich budzą pewne zastrzeżenia.

Corbin rzucił szybkie spojrzenie na Danielę i następnie zwrócił się do oficera głosem spokojnym i całkowicie opanowanym.

— To jest jakieś nieporozumienie, mister — powiedział po angielsku — jesteśmy spokojnymi turystami niemieckimi i paszporty te wydała nam nasza władza, wasz konsul przyłożył na nich prawidłowe wizy.

— Ja to rozumiem, doskonale rozumiem — uśmiechnął się znowu oficer — ale mam taki rozkaz, więc spełnić go muszę.

— Ach, skoro pan ma rozkaz, trudno — odrzekł na to Corbin. — Niezawodnie w Szimonoseki wszystko się wyjaśni.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



Chóry śląskie, biorące udział w zjeździe śpiewaczym w Cieszynie

MARIA HEMPEL-GIERDAWA

9)

Wariatka

Potrzeby dziecka Iga nie odczuwała. Jej instynkty macierzyńskie, które niezawodnie tkwiły w niej, jak w każdej normalnej kobiecie, znajdowały od dawna ujście w jej opiece nad siostrą. Zosia była jej dumą. Kiedy chwalebnie złożyła maturę, Iga była nie mniej szczęśliwa, niż gdyby chodziło o jej własną córkę. Nie martwiła się o jej przyszłość. Wiedziała, że jest dość dzielnym i solidnym człowiekiem, aby dać sobie radę w życiu. Przy tym Zosia tyle miała uroku, wdzięku, wesela i prostoty, że ujmowała sobie serca wszystkich.

Projektowały dalsze studia, naukę. Tymczasem, niespodziewanie dla obydwóch, znalazł się „On" przez duże „O" — Zosia zakochała się bez pamięci — i po bardzo krótkim okresie narzeczeństwa — wyszła za mąż.

Iga została sama. Swobodniejsza była, jeśli chodziło o widywanie się ze Stefanem, ale po wyjściu z domu Zosi, odczuła dziwną pustkę i osamotnienie.

Teraz dopiero myśleć zaczęła o dziecku, którego bardzo zapragnęła. Teraz tajemnica małżeństwa zaczęła jej dokuczać. Nie w tym jednak stopniu, aby była mniej szczęśliwa. Zresztą znacznie więcej przebywać mogła swobodnie ze Stefanem — i to równoważyło tamte cienie.

Stefan brał żywy udział w jej studiach teologicznych. Razem przestudiowali wiele dzieł. Dużo na te tematy mówili ze sobą, dyskutowali. Umysł Stefana był o bardzo szerokich horyzontach, zasięg myślenia głęboki. Iga patrzała na niego jak na przykład dobrego chrześcijanina, pozbawionego wszelkich śmiesznych małostkowych bigoteryj, wierzącego głęboko w Boga i Opatrzność. Niezawodnie było to wynikiem jego podniebnych lotów: — ciągłych pojedynków ze śmiercią.

W czwartym roku pożycia Igi ze Stefanem, wtedy właśnie, gdy Zosia była już mężatką, Iga otrzymała list od jednej ze swych dalekich ciotek, w którym ta ostatnia, tak zwana „ciotka Felicja", najserdeczniej zapraszała Igę do siebie na święta Wielkanocne z tym, aby „koniecznie była już u nich przez cały Wielki Tydzień".

Iga pamiętała ciotkę Felicję z dziecinnych lat, jako jedną z milszych i sympatyczniejszych ciotek. Może wydawała jej się wtedy zbyt wysoką i zbyt wyniosłą, ale raczej lubiła ją niż nie.

Od szeregu lat nie było między nimi żadnego kontaktu, trochę więc zdziwił Igę ten list z nagłym zaproszeniem na wieś. Nie miała też wielkiej chęci jechać tam, zresztą była zależną od swej posady — dlatego postanowiła odpowiedzieć grzecznie i miło, ale odmownie. Nic jednak nie robiła bez Stefana. A gdy Stefan przyszedł, okazało się, że właśnie uważa, że Iga pojechać powinna. Niedawno przechodziła grypę w ostrym przebiegu, jest mizerna i pobyt dziesięciodniowy na wsi niezawodnie zrobi jej dobrze. A Bank? — Głupstwo. Z całą pewnością — ze względu na zdrowie — nie odmówią jej tego urlopu.

Postanowiono więc wyjazd Igi na sobotę przed Palmową Niedzielą.

Majątek ciotki Felicji znajdował się w uroczym zakątku Małopolski Wschodniej. Iga witała z prawdziwą przyjemnością górzystą okolicę, piękne mieszane lasy, kręto płynącą rzekę i stary duży dwór, wspierający się na czterech wielkich okrągłych kolumnach, pod którymi znajdował się podjazd.

Wszystko to pamiętała z dziecinnych lat, gdy nieraz przyjeżdżała tutaj z rodzicami. Tylko wtedy wszystko to wydawało jej się o wiele większe, wyższe, potężniejsze.

W szeroko gościnnie otwartych drzwiach stała ciotka Felicja i serdecznie witała Igę. Zaprowadziła ją osobiście na piętro do gościnnego pokoju dla niej przygotowanego, prosiła, aby czuła się w jej domu jak w domu rodzonej matki, otoczyła ją atmosferą niekłamanej serdeczności.



Rzadki fakt wspólnego ukończenia miliona kilometrów w powietrzu obchodzili pilot Polskich Linii Lotniczych „Lot" Włodzimierz Klisz i radiotelegrafista Szymon Piskorz

Iga była mile tym ujęta i poczuła wdzięczność dla Stefana, że skłonił ją do tych odwiedzin.

Miała pół godziny czasu, aby odświeżyć się po podróży i przebrać do kolacji. Powiedziała ciotce, że zejdzie sama, gdy będzie gotowa, bo doskonale pamięta rozkład całego domu.

Po dwudziestu minutach wyszła już ze swego pokoju i skierowała się do schodów, prowadzących do hallu. Gruby, mięsisty chodnik tłumił odgłos jej kroków. Była w połowie kondygnacji, kiedy usłyszała z hallu głos ciotki Felicji:

— Tak, to ta biedna Iga przyjechała do nas... Krzywda, jaką wyrządzili jej właśni rodzice, pozbawiając ją religijnego wychowania — teraz dopiero prawdziwie odbiła się na jej życiu. Ach, proszę księdza kanonika! To wszystko, co dochodzi moich uszu o niej jest tym straszniejsze, że potwierdzone przez najbardziej dla mnie miarodajne osoby... Początkowo myślałam, że to złośliwe plotki... Ale niestety. Biedna Iga zeszła rzeczywiście na złą drogę. Postanowiłam ją ratować. Wierzę, że pięknie prowadzone rekolekcje przez księdza kanonika, tu u nas w domu, w zaciszu i skupieniu ducha, wprowadzą ją na drogę cnoty, pokażą jej Boga...

Iga w zdumieniu słuchała tych słów. Zrozumiała teraz dlaczego ciotka Felicja raptem przypomniała sobie o niej. Uśmiechnęła się łagodnie i z takim wyrazem twarzy, jak gdyby chciała powiedzieć — jednak bez tonu żalu, urazy czy gniewu: „Poczciwina. Ale po co się miesza do moich spraw... Cóż ona wie o mnie?..."

Pobiegła możliwie głośno po schodach na dół i wchodząc do hallu powiedziała wesoło:

— Już jestem, ciociu. Musi ciocia przyznać, że nie jestem maruda. To zawdzięczam mojemu życiu pełnemu pracy.

Ciotka przedstawiła Igę księdzu kanonikowi. Iga zauważyła, zaraz przy wejściu do hallu, z jakim zaciekawieniem spojrzał na nią. Wiedziała dlaczego. Będzie tu sensacją. Okazem do oglądania. Wszyscy tu pewno naszeptali już sobie na jej temat wiele „niebywałych historii".



Dyr. PLL. „Lot" Roland wita milionerów powietrznych na lotnisku okęckim w Warszawie lampką wina



W przyjęciu urządzonym w paryskim hotelu „Ambassadeurs" wziął udział słynny pisarz i ostatnio filmowiec francuski, Sacha Guitry (w okularach)

— Widocznie nie umieją sobie tu na wsi wypełnić czymś życia... — pomyślała z wrodzoną sobie łagodnością i wyrozumiałością. — A ciotki intencje niezawodnie są najlepsze..."

Przy kolacji, oprócz ciotki, księdza kanonika, Igi i dwóch rezydentek, starych panien, były jeszcze dwie młode panie z dalekiego sąsiedztwa, które w przeddzień rekolekcji tutaj zjechały. Następnego dnia miało, przybyć jeszcze szereg pań z okolicy.

Przy stole toczyła się rozmowa na rozmaite aktualne tematy. Iga opowiadała o swojej pracy, o stosunkach koleżeńskich, o Zosi, o jej szczęśliwym małżeństwie.

— A ty, Igo, czy dobrze czujesz się w takim życiu?

— Znakomicie, ciociu. Z Zosi mogę być przecie dumna. Wychowałam ją na dzielnego człowieka. Jest wzorową żoną i wiem, że będzie wzorową matką.

— Tak, tak. Słyszałam o tym. Byłaś dla niej jak matka... Ale jednak takie życie, jak twoje, nie jest odpowiednie dla panny z twojej sfery.

— Dlaczego, ciociu? Cóż może być nieodpowiedniego w samodzielnej uczciwej pracy? Czy lepiej było by, gdybym siedziała gdzieś bezczynnie u rodziny i cierpliwie czekała na męża? Ciociu! dawno te czasy minęły i nie wrócą!

— Ale ileż z tych samodzielnych panien dzisiaj schodzi na śliskie drogi...

— Te, które i w innych warunkach na takie drogi by zeszły.

Ciotka Felicja spojrzała przelotnie na księdza kanonika, ciężko westchnęła — po czym uniosła się z krzesła, co było znakiem dla wszystkich powstania od stołu.

Na drugi dzień od samego rana wielki ruch panował we dworze.

Salon przemieniało się — na kaplicę.

Ciotka Felicja sama osobiście zarządzała wszystkim, wszystkiego doglądała.

Iga nie brała w tym żadnego udziału. Nie była nawet w domu.

Zaraz po pierwszym śniadaniu poszła na spacer. Szła przez szerokie pola, wchłaniała z rozkoszą świeży wiosenny zapach ziemi, śledziła wzrokiem wysoko pod niebem zawieszone skowronki — i było jej niezmiernie dobrze.

Żałowała tylko, że nie ma przy niej Stefana.

Weszła do lasu. Tutaj unosiła się w powietrzu wilgoć, przepojona dziwnymi balsamicznymi zapachami. Drobne młodziutkie listki tworzyły jakby jasnozieloną mgiełkę, która otulała gałęzie drzew. Na ziemi wśród trawy i kiełkujących paproci, rosło mnóstwo białych i jasnoliliowych drobnych kwiatów.

Iga stąpała ostrożnie, aby ich nie uszkodzić.

Idąc tak, trafiła na wąską wydeptaną ścieżkę. Ciekawa była dokąd prowadzi. Poszła nią. Po pół godzinie znalazła się na polanie wysoko położonej, skąd roztaczał się szeroki, przepyszny widok na wszystkie strony.

Idze aż dech zaparło z zachwytu nad tą cichą malowniczą krainą, skąpaną w jasnym wiosennym słońcu, nakrytą wielką, czystą, bez jednej chmurki, błękitną kopułą nieba.

Czuła piękno i poezję otaczającej ją przyrody.

I oto, nie wiedziała sama dlaczego, usta jej się poruszyły i głośno, wolno mówić zaczęła: „Ojcze nasz, który jesteś w niebiosach, święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje..."

A potem myśl jej pobiegła do Stefana, myśl pełna gwałtownej, żywiołowej tęsknoty.

— Stef!! — krzyknęła głośno, aż echo kilkakrotnie odpowiedziało. — Czujesz na pewno — mówiła w myślach — jak mocno, jak gorąco o tobie myślę. Wiem, że usłyszałeś moje wołanie...

Siadła na przewróconym pniaku i patrząc w daleki horyzont, myślała o wszystkim, co składało się na jej życie. A potem, raptem, przeskoczyła myślą do dworu, w którym salon przerabiano prowizorycznie na kaplicę. I wydało jej się to czymś małym, drobnym, ciasnym, zasklepionym; wydało jej się, że tam coś wielkiego rozprasza się na drobną zdawkową monetę...

Wróciła dopiero na śniadanie i to z wielkim pospiechem, aby się nie spóźnić.

Wszyscy zaproszeni rekolekcyjni goście już się w międzyczasie zjechali. We dworze ruch był ogromny, służba biegała tam i na powrót.

Igę raził ten ruch i niepokój. Tam z lasu przyniosła w sobie ciszę głębokiego skupienia jakie daje natura. Tutaj rozprazsało się ono na drobne cząsteczki, z których każdą absorbował nerwowo jakiś nic nie znaczący szczegół.

„Czy wszyscy, co się tu zjechali, nie omylili się co do celu, w jakim tu przybyli..." przeszło jej przez myśl — i poszła do swego pokoju poprawić włosy i umyć ręce.

Śniadanie, któremu przewodniczył ksiądz kanonik, było wspaniałe. (Ciotka Felicja miała dobrego kucharza i we dworze dobra była piwnica).

Iga z zainteresowaniem obserwowała wszystko i wszystkich. Och, nie nudziła się ani trochę. Miała tylko wrażenie, że zaproszono ją na jakieś amatorskie przedstawienie.

Czy potrafi odegrać rolę, jaką jej tu wyznaczono?...

Półmiski obnoszono po kilka razy, apetyt dopisywał wszystkim, zresztą potrawy były znakomicie przyrządzone i tak ładnie podane, że nawet kogoś zupełnie pozbawionego apetytu, zachęciłyby do jedzenia.

Rozmowa toczyła się poważna, jak wymagał cel, dla którego zjechano się do tego gościnnego domu.

Po śniadaniu wszyscy przeszli do hallu na czarną kawę.

Iga ze spokojem pełnym wdzięku, rozlewała i podawała kawę. Zdawała się nie widzieć ciekawych oczu, które ukradkiem przyglądały się „sensacji".

Panie nie piły likieru; ksiądz kanonik jedynie musiał ulec usilnym naleganiom gościnnej pani domu.

W pewnej chwili, gdy wszyscy wypili już kawę, ciotka Felicja zabrała głos:

— Przede wszystkim bardzo serdecznie dziękuję kochanym paniom, że tak chętnie przyjęły moje zaproszenie na te nasze wspólne rekolekcje, które zamierzamy odprawić. Cieszę się, że moja inicjatywa w tym kierunku znalazła tak żywe echo. Teraz więc podaję do wiadomości program, według którego przez te trzy dni żyć będziemy. Obecnie udamy się do swych pokoi, aby skupić się nieco i przygotować każda w sobie samej. O godzinie 5 i pół zbierzemy się w kaplicy na wspólną modlitwę, po której wysłuchamy nauki księdza kanonika, który łaskawie zechciał poświęcić swój drogi czas wyłącznie dla nas.

(Ciąg dalszy na str. 453)

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

NA WSI

Jest wielka cisza we mnie
I miły spokój wioski,
Daleko gdzieś się został
Niepokój mój i troski.

Jak dobrze nie czuć ciżby,
Nie słyszeć gwaru, krzyków,
Ni wrzasków ulic pełnych,
Płynących wzdłuż chodników.

Jak dobrze, jak to dobrze
Mieć w koło las i ciszę,
Co myśl zmęczoną, ciężką
Łagodzi i kołysze.

Nie chciałabym stąd odejść,
By znów się zgubić w tłumie,
Aż dusza spokój znajdzie,
I Bożą myśl zrozumie.

Al. Chlebowska.

DOBRE RADY PANI ZOFII

KAŻDY WIE

„Młody". Przyjmuję Cię do „Krainy" pod pseudonimem „Młody", gdyż „Młody Młodzieniec" nie można powiedzieć, przecież to byłoby strasznie nielogicznie, coś jak „masło maślane". Każdy wie, że młodzieniec musi być młody — czyż nie tak?

Łączę miłe pozdrowienia i życzę Ci powodzenia, tudzież sympatycznej korespondencji z naszymi Krainiankami.

GDY PRZYJEDZIESZ...

„Smutna Kazizeńka". Odpowiadam na trzy Twoje listy. Wiesz, że zadowolona jestem, iż decydujesz się jednak na tę zmianę (wiadomo Ci o czym myślę). Porozmawiamy sobie o wszystkim obszerniej, gdy przyjedziesz tu w sierpniu.

Sprawę monogramów załatwiłam — czy podobają się Siostrze Twojej?

Naturalnie, że i Siostrę przyjmę chętnie do naszego grona — proszę jej powiedzieć, aby nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Masz moje uznanie za to, że zdobyłaś się na 5,— złotową ofiarę na łańcuch składkowy mimo ogromnych wydatków, jakie ponosisz pod te czasy.

Komunikatów starych nie zamieszczam z uwagi na ich przedawnienie.

Łączę serdeczny uścisk dłoni i dobre życzenia.

Komunikaty:

„Biała Uajali". Kaju Kochana dziękuję bardzo za przesyłkę. Nie gniewaj się, wkrótce napiszę, całuję i pozdrawiam.

„Blance" i „Jutrzence" ślę serdeczności i zapytanie, kiedy się spotkamy, gdyż chciałabym znowu z Wami porozmawiać.

„Żymełka". Jak żyjesz w grodzie Lecha? Wiesz, nie będę w Warszawie na stałe, tylko w Żychlinie. Ściskam Cię i całuję.

„Blanka". Dziewczynko Kochana, zasyłam Ci moje wielkie uznanie za zapoczątkowanie łańcucha składkowego. Uważam, że wszyscy winni odpowiedzieć na Twój apel, spieszę z datkami na dozbrojenie armii. Ja dałam, ile mogłam i wzywam „Rodzinkę" do dalszej ofiary!"

KOMUNIKATY „WILNIANKI"

Brawo „Blanko"! Pomysłowa z Ciebie i tak jak to się mówi „bycza dziewczyna". Całuję, ot tak z przyjaźni!

„Arianko"! Ciebie do łańcuszka wzywam, wiem, że płacisz co miesiąc składki na FON. jak ja, ale teraz trzeba — wiesz, że trzeba!! I panią, Pani Marylu P. z Koziegłowy — łapmy ogniwa i łączmy długi łańcuch.

A Ty, Romo z Sadłowic Dolnych? Jaśka K. — telegraf Nowogródek — no, szarpnij się duszko!

„Serduszko Wilnianki" — rodaczko moja, Co się boisz, napisz, groźnie nie wyglądam, adres „Wilnianka" poczta Połoneczka — wystarczy. — No i naturalnie grosiki oszczędzone, na lodach w „Jugosłowiańskiej" czy u „Czerwonego", prześlij na wezwanie „Blanki" i łańcuch ciągnij dalej.

Panowie „Dżentelmen Śląski" — nie zostawać w tyle! No i „Ejgo — ejgo"... (dziwną słabość mam do tego łobuza — przepraszam młodzieńca) prosimy!"



„Halo! Oto „Czarny Diabełek". Przysiadł w oknie przedpiekla i duma na kogo najpierw ma zarzucić swoje szatańskie sieci".

NA PEWNO!

„Zo — mulatka". Przyjmuję Cię do naszego grona, nie wątpiąc, że będziesz z tego w przyszłości zadowolona.

Członkowie naszej „Rodzinki" na pewno okażą Ci zainteresowanie, które z biegiem czasu przerodzi się w niekłamaną sympatię.

Oczekuję następnego listu, a na razie posyłam Ci życzliwy uśmiech.

Komunikaty:

„Yoshiwara" znam Cię, czy wiesz kim jestem?

„Czarnobrewa". Ściskam łapki i ślę całuska.

„Wytworny Włóczęga" — zainteresowałeś mnie.

„Stepowy płomień" — czy zawsze step jest Twoim domem?

„Czarna kropeczka". Przesyłam Ci słodkie „Pa!"

„Uran". Czy nie zechciałbyś poświęcić mi jednego wierszyka?

„Szukający podchorąży". Czego szukasz?

„Obserwator I". Znam miasto Gdynię, lecz Ciebie niestety nie!

„Zefir Zachodu" i „Szara Fala" — smętno mi bez was.

„Szara dziewczynko", czy chciałabyś mi być przyjaciółką?

„Bajce", „Blance", „Białej Uajali", „Dziewczynce z zaklętego młyna", „Brzyduli", i „Smutnej i Brzydkiej Irce" specjalne pozdrowienia, a reszcie „Krainiaków" miłe uśmiechy!"

DLACZEGO MILCZYSZ?

„Kiki z Warszawy". Za nadesłanie adresu dziękuję. Co z Tobą? Dlaczego milczysz? Może zechcesz jednak przysłać mi długi, długi list — czekam!

OCZEKUJĘ

„Dzinka". Oczekuję przyobiecanego listu — czy napiszesz wkrótce? Łączę ucałowania.

NAPRZÓD ADRES!

„Hiacynt". Nie przyjmę Pana wcześniej do „Krainy" aż nadeślesz adres. Co zaś do sprawy, wyłuszczonej mi przez Ciebie, to mogę Ci jedynie poradzić, abyś dał stosowne ogłoszenie w jednym z naszych pism.

Łączę pozdrowienia.

ŁAŃCUCH SKŁADKOWY

NA DOZBROJENIE NASZEJ ARMII

Na wezwanie „Blanki" w dalszym ciągu nadesłali składki: „Smutna Mariola" zł 5,—, „Chochlik" zł 5,—; „Pell" zł 5,—; „Zuch Dziewczyna" zł 10.

ZA KARĘ!

„Samotna Idealistka". Jesteś brzydal, że zmieniłaś swój oryginalny pseudonim na ten banalny i pełen pretensjonalności. Odpisuję na dwa Twoje listy i pocztówkę. Trudno mi mówić z Tobą tak serdecznie, jak zwykle, bo gniewa mnie upór z jakim zmieniłaś swój piękny pseudonim. Za karę nie powiem Ci dziś nic miłego, a tylko zamieszczę suche komunikaty:

„Księżniczka Henrietta". Przyjmij serdeczne pozdrowienia.

„Armeńczyku"! Ktoś odwzajemnia pozdrowienia i prosi o liścik.

„Zielone Oczy". Ktoś bliski, choć nieznany, śle Panu serdeczną myśl.

„Samotny S." Napisz do mnie — adres w Redakcji.

„Leśny włóczęga". Podobasz mi się — przyjmij miłe pa!

Halo! Halo! Kto z „Krainiaków" poświęci maleńki wierszyk „Samotnej Idealistce?"

„Bajce", „Blance", „Białej Uajali", „Smutnej i brzydkiej Irce", Brzyduli", „Dziteczce"-„Dadusi", „Alchemikowi", i „Czarownicy z Debry" ślę milutkie pa! z prośbą o kilka słów lub o wierszyk!

„Uluta". Kim jesteś, Dziewczynko? Czy nie napisałabyś do mnie?

„Blanka". Jesteś milusią dziewczęką, Heluś całuję pysio!

„Dziewczynka z zaklętego młyna". Czy mieszkasz w Warszawie? Przyjmij uśmiechy i pozdrowienia.

„Turandot". Czy jesteś w „Krainie"?

Panie Janku K. z Żółkwi — ktoś bliski śle Ci serdeczną myśl. Proszę napisać znowu — odpowiedź pewna!

„Armeńczyk". Co u Ciebie słychać? Poznajesz???

„Wład." Kiedy przyjeżdżasz do domu? Czekamy! Pamiętaj o J. P. i pozdrów „hrabiego", czy zostaje w P...?

„Yoshiwara". Podobno jesteś mieszkańcem Gdyni... może zdecydujesz się napisać do „Samotnej Idealistki"?

„Yoshimurę", „Wademirę", „Czarnobrewą", „Dyktatora", „Samotnego S.", „Jadwigę Linbę" i „Barcię" serdecznie pozdrawiam. Całej „Rodzince" — miłe pa!"

CZY WOLNO ZAPYTAĆ?

„Farida". Czy wolno zapytać, jak przedstawiają się sprawy pewnego Czarnego Kota? I jak się czujesz Ty, Droga Dziewczynko? Zapomniałaś już o ślubie Brata, a teraz o czym myślisz — czy o kwiatach i szczęściu, które jest tuż blisko?

Posyłam Ci promienny uśmiech.

A teraz kilka komunikatów dla „Krainy":

„Tyranowi" ściskam „graby" za te radosne życzenia. Największą radością było, że napisałeś. Przyjmij pozdrowienia.

„Armeńczykowi", oraz tym, którzy na łamach „Krainy" o mnie pamiętali, ślę serdeczności.

Pozdrawiam również „Pieśniarza" (przypomina mi kogoś), „Krzysię Leśniczankę", „Jadwigę Limbę", „Ferdego", „Pella", „Jednego ze wsi", „Agronoma", „Henry'ego", „Ejgo - Ejgo", „Przybłędę leśnego", „Skarabeusza", „Sławę", „Przeklętą Iwę", „Dziewczynkę z Podlasia", „Samotną Włościankę" — i wszystkich tych, których nie mogę tu wymienić, t. zn. całą „Krainę".

CO NOWEGO U CIEBIE?

„Serce Śląskie". Prośbę Twoją spełniłam. Jak Ci się powodzi i jak Ci płyną dni pracy? Łączę pozdrowienia.

PA!

„Leśna Dziewczyna". Dziękuję Ci za widokówkę z Zakopanego. Życzę wielu miłych wrażeń i dobrego odpoczynku.

Czy wiesz, że równocześnie odpisuję na list, w którym przyrzekasz nadesłać mi swoją fotografię do zamieszczenia w „Krainie"? Gdybyś jednak nie chciała ujrzeć zdjęcia w naszym tygodniku, to rozumie się, że pójdę po linii Twego życzenia, a zdjęcie zachowam dla siebie.

Cały Twój list tchnie wiosną i krystalicznym, górskim powietrzem, jak ty to zrobiłaś, że czuję w nim całe cudne Zakopane? Jesteś chyba czarodziejką. Moją kochaną Czarodziejką! Pisz często. Pa!

Komunikaty:

„Wit". Czekam listu od Pana. Serdecznie pozdrawiam.

„Wicher". Kochanie, adres zagubiłam, może mi podasz, serdecznie całuję.

„Wit z Poznania". Ślę pozdrowienia. Przepraszam... Jestem na urlopie w Zakopanem.

„Kiki z Warszawy". Czy na imię Ci Krysia? Jeśli tak, to znamy się dobrze, jestem Ryśka. Przesyłam Ci moc pozdrowień. Pozdrów Stenię!

„Przybłęda Leśny". Czy Pan też wychował się wśród lasów jak ja?? Łączę pozdrowienia.

„Krainiacy" z Grudziądza! Czy kto z Was chodził do Gimnazjum Matem.-Przem. Hum. chodzi mi o p. Henryka K. rok 1933 i 34. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby ktoś podał mi jakiekolwiek informacje. Dla całej „Krainki" pozdrowienia.

Z CAŁĄ ATENCJĄ!

„Izyda". Ależ, Dzieciaku, Twoje pismo jest niesłychanie czytelne i żadnej nie sprawia mi trudności jego odczytywanie. Wierzysz?

A teraz z całą atencją chwytam Cię pod łokieć, prowadzę przed oblicze „Rodzinki" i przedstawiam jak najuroczyściej.

Myślę, że nikt się nie pogniewa na Twoje wiosenne latka i na czarne, filuterne oczy. A teraz pozwól się uściskać na pożegnanie i przejść mi do komunikatów:

„Halo! Tereniu z Leszna, czy pamiętasz jeszcze Poniec? Całuję Cię, kochana.

„Samotny Wędrowiec II", może Twój liścik zawędrowałby do mnie?

„Sarna z puszczy Białowieskiej" — tyle drogich wspomnień łączy mnie z Białowieżą, może zechcesz ze mną porozmawiać listownie? Napisz, „Sarenko", pierwsza, a odpowiedź murowana!

Pozatem ślę serdeczne pozdrowienia „Burzy" „Dani", „Samotnemu S", „Królewiczowi z bajki", „Obserwatorowi I.", „Czarnemu Piratowi", „Romeczce ze Lwowa", „Naturalnemu", „Cygance o smętnych oczach", „Niedźwiedziowi z puszczy", „Przeklętej Iwie" i „Białej Uajali".

Całej „Kraince" zasyłam wiele serdeczności i prośbę o przyjęcie mnie do grona.

Czekam na pierwszy odzew!"

JAKIE WYNIKI?

„Sława". Jakie wyniki dała owa groźna inspekcja i czy jesteś z niej zadowolona? Niedługo wypoczniesz, bo nadejdą wakacje. Postaraj się dobrze je wykorzystać dla zdrowia.

Posyłam Ci dobry uśmiech i przedrukowuję komunikaty:

„Veuve 25". Droga Renuś! Dziękuję za list i kartkę z życzeniami świątecznymi — cierpliwości, napiszę niedługo.

„Cierniowa Dola" — dlaczego milczysz, daj znak — czyżby nie warto?

Ściskam łapki „Faridy" i „Uluty" i przyobiecuję skrobnąć do Was.

„Smutny Marzyciel" — owszem, owszem tylko w tym wypadku zwykłam dawać Wam pierwszeństwo. Czekam zatem na kilka słów od Pana, no, a ja nie zostanę dłużną.

„Róża leśna". Czy Pani nie jest Hanką M. z Grudziądza, jeśli tak, to znamy się.

Dla całej „Krainy" dużo serdeczności, a w szczególności dla „Gałązki świerku", „Szczęśliwej 13", „Tajemniczego nieznajomego", „Belfra", „Erosa".

HALO!

„Kochane „Krainianki" i „Krainiacy"! Napiszcie do „Lucyny", która szuka szczerej przyjaźni i wierzy, że znajdzie kogoś, kto jej ofiaruje ten bezcenny dar — prawda?

Pozdrawiam Was serdecznie.

„Lucyna".

„BĘDZIE"!

„Siboney". Lubię Cię, Kochana, bardzo nawet, więc nie potrzebujesz być zazdrosną o inne nasze sympatyczki. A wiesz, co mnie cieszy ogromnie? Składam Ci gorące gratulacje! Nie orientuję się dokładnie, ale zdaje się, że nie. Może Członkowie „Krainy", mieszkający w Kutnie odezwą się do Ciebie — bardzo ich o to proszę!

Trochę się domyślam, o kim mówisz, chociaż nie jestem pewna. Przebaczenie dla niego jest, albo lepiej „będzie"!

Ty naturalnie możesz i powinnaś dalej pisać do nas i powiem Ci, że zupełnie niepotrzebnie ktoś „kręcił" troszeczkę. To taka drobnostka!

Jeżeli podoba Ci się tak bardzo „Biała Uajali", to powiedz jej to w komunikacie. Polecam „Leśną Dziewczynę", „Dzikuskę", „Szatynkę z Podlasia" — ach trudno wyliczyć tu wszystkie nasze kochane „Siostrzyczki".

Numery okazowe wysłała nasza administracja.

Całuję Cię serdecznie i oczekuję dalszych wiadomości!

Komunikaty:

„Biała Uajali". Szalenie mi się podobasz i jestem Tobą bardzo zainteresowana, może napiszesz do mnie aby mi dodać odwagi. Bardzo proszę. Pragnę się z Tobą zaprzyjaźnić i korespondować. Czekam na jakiś znak.

„Irusia z Wołynia". Bardzo mi Pani przypomina kogoś miłego z Kutna, serdecznie pozdrawiam i proszę o kilka słów choćby w komunikatach.

„Pell". Bardzo dziękuję za tak miłą niespodziankę w postaci listu. Pozdrawiam.

„EL-WU". Czy odebrałaś list? Serdecznie pozdrawiam. Chcę Cię nawrócić i wyjednać przebaczenie w „Krainie". Jak myślisz, uda się?

Wszystkich chętnych proszę o listy. Adres u Pani Zosi".

ZALEŻY OD OCENY

„Dziewczę z dalekiej Ojczyzny". Z przyjemnością patrzę znowu na Twoje zgrabne literki i czytam to, co mi piszesz.

Czy „Kraina" zapomniała o Tobie, dowiesz się sama. W każdym razie fotografia zrobi swoje.

Wierszyk Twój wydrukuję, jeżeli Wujek uzna go za odpowiedni do druku.

Posyłam Ci moc dobrych uśmiechów i zamieszczam komunikaty:

„Kto zechciałby nawiązać ze mną nić korespondencji? Może „Halszka z Torunia", mieszkam blisko stolicy Pomorza i lubię wycieczki rowerami.

„Carmen", czemu milczysz, Maleńka?

„Szczęśliwą żonę" i Panią Irenę M. Wójcikowską mile pozdrawiam, mamy wspólne ideały.

„Wesoła Wdówka"; „Łobuz w spódnicy" i „Czarna Maryna" — całuję Wasze roześmiane oczęta.

Dla „Belfra" ślę koleżeński uścisk dłoni.

„Wesołą Janeczkę z Bydgoszczy" i „Nell z Bydgoszczy" czule ściskam i proszę napisać, a przedstawię się osobiście, gdy będę w B. u krewnych.

Specjalne serdeczne pozdrowienia przesyłam leśnym ludziom: „Dziewczęciu z Puszczy", „Przybłędzie leśnemu", „Młodemu Lasowi" i „Szaremu Cieniowi".

„Dziewczynko z zaklętego młyna" i „Stello", czy wiecie, że jestem w Waszych buźkach z foto zakochana?

„Samotny S" i „Yoshimura" — obiecali odpisać zaraz, gdy się ich obdarzy sympatią — a więc czekam!

„Czarnulko ze Świecia", skrobnij do mnie proszę, ja spędzam część wakacji w S., miałabyś ze mnie nie nudną towarzyszkę spacerów nadwiślańskich.

„Nieznana Drogo", zdaje mi się, że umiałabym Ci być bratnią duszą.

„Szatynko z Podlasia" chciałabym z Tobą nawiązać łączność, proszę podaj rękę.

Halo! „Mary", „Ariana" i „Milutka Lena" — tchnie od Was takim ciepłem, że nie mogę się oprzeć, by nie przesłać Wam ucałowania.

„Frasquito" i P. St. P. — H. nowo wzeszłe gwiazdki, pozdrawiam Was na firmamencie „Krainy".

DZIĘKUJĘ!

„Pukowi" dziękuję za pozdrowienia, nadesłane z pobytu w Wiśle, dla „Krainy" Wujka Janusza i dla mnie.

DO ZOBACZENIA!

„Biała Uajali". Cieszy Cię wiosna — to dobrze! Naturalnie, że odwiedzisz mnie w przejeździe. Dawno już chciałam Cię poznać. Przyjedź koniecznie!

Zamieszczam komunikaty, ale w przyszłości proszę dawać ich mniej.

Więc do zobaczenia!

Komunikaty:

„Halo! „Uśmiech Szatana". Napiszę, czekaj cierpliwie, Maleńka. Co do powieści — tak, mam tam swoje. Ja autora dobrze znam — całuję buźkę, pa!

„Księżniczka Henrietta". Odgadłaś Kochanie, kto pomógł? Czy widzisz się z Rysią? Ucałuj ode mnie! Tobie łapeńki ściskam i... napiszę!

„Leśna Jagódka". Może wkrótce wpadnę tam do Ciebie, jak będę miała wakacje, mam tam braciszka w Jaro. Mocno całuję i napiszę!

„Młody Las". Cenię Pani pogląd na życie, ale jestem za... stara, mam już dużo więcej lat! Cenię i... serdecznie pozdrawiam.

„Błędny Ognik". Nie, Januszu, nie odesłam, a oddalenie nas męczy! Za piękne szczere słowa szlachetne dłonie ściskam. Pamiętam i... jak Ty, jestem smutna mimo (?) — wiesz co mam na myśli?... W cudne wiosenne wieczory słuchać będę samotna Twej pieśni zaklętej w trelach słowika. Pozdrawiam.

„Dyktator". Jest Pan „zimny drań" — szkoda, że nie było adresu, żniniaku, a dyktatura byłaby mocno zagrożona. Nie znam odwetu za wszelką cenę, postępując w imię honoru! Tymczasem łapę ściskam i bywaj!

„Awiata". Jeżeli będzie Pan w Toruniu, proszę się ze mną skomunikować, telefon: Ostaszewo 4 dał zarz.....ej! — kto ja, odgadnie Pan?

„Łobuz znad iWsły". Nie ma adresu, trudno, sądzę, że Ją ktoś kocha i... niestety, jest k...... pozdrawiam!

„Mała wróżka". Jadziuś!... nie piszę, ale się poprawię, wpadnij do mnie. Łapeńki ściskam i mocno całuję.

„Frasquita" znam Cię również z fotografii, podobasz mi się. I ze mną już Dasiek nie koresponduje, nie wiem dlaczego. Może coś wiesz, to mi napisz.

„Maruta", „Rysia", „Sieńka", „Kazia", „Kazieńka", p. Skąpska, Helusia Justyńska moc uścisków i ucałowań. Kocham Was zawsze bardzo i choć milczę, ale... pamiętam. „Maruś", co u Ciebie, może kiedy się ujrzymy, to E...a! zbiję za te wszystkie zbereżeństwa — prawda, że mi pomożesz? Kochańcia całuję.

„Czarodziejce", p. Edwardowi Z. z maj. Ost. Krzy. pozdrowienia. Dla reszty, co o mnie pamiętali i za uznanie mych lichych wierszyków, bardzo dziękuję, odwzajemniając się pozdrowieniami i serdecznością.

„Nince z Podlasia". Co będę mogła, zrobię w Pani sprawie!

Halo! „Uluta". Dziękuję za komplement — czy jestem śliczna? Kochana! — wróble dość uciekają, widocznie fotos był na mą korzyść. Całuję i pa!

„Ejgo-Ejgo". Och, nieznośny jest Pan! Mocno pobiłabym, gdyby wiedzieć, gdzie Pana szukać, a tak ,proszę mnie przeprosić pięknym wierszykiem. Czekam, pozdrawiając.

„Samotny S." Pomylił się Pan, ja mieszkam aż na pomorskiej ziemicy, a Pan — zdaje się — na śląskiej. Pozdrowienie z radością przyjmuję, bo pamięć jest zawsze miła.

Pani Mirko! halo!... może jednak wciągnę Panią do „Krainy"? — cieszę się, że poznałyśmy się, mocno Panią całuję i pozdrawiam!

„Łobuz w spódnicy". Całuję buzię i proszę o pamięć. Bywaj!"

KOMUNIKATY „DZIKUSKI"

„Góraleczko" — dziękuję za przemiły uśmiech i odwzajemniam takowy stokrotnie!

„Słoneczna Jasieńka" Życzę Tobie, Kochaneńka, dużo radości!

„Błędny Ognik". Było mi przykro, że na mój ostatni list z kwietnia br. w ogóle nie odpisałeś!? Ponieważ osobiście dużo w życiu przecierpiałam, więc dużo potrafię zrozumieć, a Tobie życzę szczerze dużo promiennego szczęścia. Komunikatu danego w „Krainie" z dn. 14 maja br. — nie przyjmuję do wiadomości. To już wszystko, co chciałam Ci powiedzieć!

„Zabłąkany Chłopcze"! Życzę, aby słoneczna radość opromieniła puetkę Twego życia. Uśmiechnij się do „Malutkiej Len".

Krainianki i Krainiaków serdecznie pozdrawia

„Dzikuska".

TRZEBA SIĘ POPRAWIĆ!

„Koralowe usta". Oczekuję przesyłki Twojej fotografii — kiedyż to nastąpi? A w ogóle, to piszesz zbyt rzadko — trzeba się poprawić, Dziecino!

Łączę pozdrowienia i przechodzę do komunikatów:

„Słoneczka Jasieńka". Całuję Twoją śliczną buźkę! Dlaczego nie piszesz?

„Młody Orzeł". Szkoda, że nie jesteś lwowianinem, ale napisz. Kocham lotnictwo i lotników też, tylko troszkę... więcej.

„Zbłąkany Chłopiec". Za pozdrowienia dziękuję. Zgadłeś wszystko, rzeczywiście muszę jeszcze kuć. Napisz pierwszy, ja mam tremę, odpiszę na pewno.

„Armeńczyk". Dziękuję za pozdrowienia, usta są naturalne i co Pan na to?

„Zew". Czy naprawdę zasmucam? Jeżeli tak, to... napiszę.

„Romeczka ze Lwowa", mieszkam stale we Lwowie, może się spotkamy?

„Szepczący". Pozdrowienia odwzajemniam, napisz pierwszy.

„Góraleczka". Pozdrowienia od lwowskiego „łajojka".

„Mohikanin II." Czy tylko czarnookie?

„Młody las". Pozdrawiam.

P. W. B. z Kcyni. Pozdrawiam.

„Marzyciel Mulforda". Życzę powodzenia! Dla całej „Krainy" śliczne uśmiechy ze Lwowa i jedno słówko „piszcie"!

OCZYWIŚCIE!

„Lan-Cheng". Oczywiście, że nie powinnaś mieć najmniejszych skrupułów i pisać do mnie tak często i tak dużo, na ile będziesz miała ochotę. Wiesz przecież jak jestem Ci życzliwa! Jak teraz spędzasz dni i gdzie wyjedziesz na wakacje? A może jednak jedź do „Bajkału".

Pozdrawiam Cię i przedrukowuję komunikaty:

„Bajkał". Wandko, kocham Cię zawsze!

„Smutna i brzydka Irka". Iruś, jesteś bardzo, ale to bardzo kochaną. Odwzajemniam uścisk łapiat, który przesłałaś mi przez „Krainę". Nie, nie gniewałam się, było mi tylko bardzo smutno, ale teraz już nie.

„Biała Różyczka". Ślę Tobie moc pozdrowień.

„Stenia K. z R." Całuję Cię, Kochana.

„Uluta". „Szukającego" znam, gdyż chodziłam do tego samego gimnazjum co i On, lecz On należał do tych starszych, którzy wtenczas nie zwracali uwagi na takie smarkule, do których i ja należałam. Na pewno nie znałby mnie nawet wtedy, gdybym podała moje nazwisko. Zasyłam pozdrowienia.

„Armeńczyk". W Poznaniu jestem dość często, bo mieszkam niedaleko. Owszem możemy się zobaczyć. Kiedy będę znowu doniosę. A może zdecydujesz się napisać i wpierw mnie odwiedzisz? Odwzajemniam pozdrowienia.

„Samotny S." I ja byłam w C. O. P., bardzo mi się tam podobało. Czy nie mieszka Pan czasem w Stalowej Woli i nazywa się S. S.? Jeśli tak, to znam Pana. Proszę przyjąć pozdrowienia od poznanianki.

„Marzące Oczy". Ślicznie wyglądasz na fotce. Przyjmij pozdrowienia.

Pozdrowienia dla wszystkich „Krainianek" i „Krainiaków".

TO ŁADNIE!

„Księżniczka Henrietta". Dziękuję za pocztówkę. Na list odpisuję równocześnie. To ładnie z Twej strony, że zwerbowałaś nową abonentkę — bardzo chętnie przyjmę ją do „Rodzinki". Ocho! Właśnie dziś, nadszedł Twój ostatni list. Nie masz racji, kochanie. Wpłata na łańcuch została zarejestrowana. A łańcuch winna była zapoczątkować „Rodzinka", a nie ja. Zawsze tak się praktykuje. Co do mnie, to wpłaciłam na oba Fundusze już dawno.

Życzę Ci wiele radości i oczekuję nowych wiadomości!

Komunikaty:

„Waldy". „Czy nieznośne stworzenie?" Hm, kto wie, czy nie gorsze! Wszak z „Bajką" jesteśmy serdecznymi koleżankami. Ale, ale Pan ma auto — ja też, może tak razem urządzimy jaką eskapadę?

„Armeńczyk". Moja rezydencja, to kominogród. Może i o nią Pan kiedy zawadzi. Czy tęsknię? — napiszę, jak otrzymam przyrzeczony list, a na razie za miłe słowa serdecznie dziękuję.

„Paddy incognito". Skąd wiesz, że jestem kochana?

Rada bym się zrewanżować już choćby tylko okrętem całusów, ale boję się, gdyż trudno się zorientować jakiej płci jesteś przedstawicielem. Wyjaśnij tę zagadkę?

„P. E. P. Siemianowice". Mam miłe wspomnienia w maj. Siemianowice koło Łasku, czy to te? Pozdrawiam Pana.

„Błędny Ognik". Serdeczne dzięki za wiersz — ubawił mnie. Wkrótce odpiszę.

„Alchemik". Czy my się czasem nie znamy? Kłaniam się.

P. dr. Jerzy Pienkowski — Warszawa — mój telefon 187-05. Pozdrowienia od Stacha.

„Samotny-Chorzów". Uprzejmie dziękuję za życzenia świąteczne.

„Bajkę", „Zuch Dziewczynę", „Blankę" i wszystkie „Krainianki" całuję, „Krainiakom" — czołem!!!

W PRZYSZŁOŚCI

„Samotna Dusza". Za dużo dałaś komunikatów, Dziecino! W przyszłości proszę wypisywać tylko najkonieczniejsze.

Łączę serdeczny uścisk ręki.

„Smutna Ślązaczka". Jak widzę, smutek też gości u Ciebie. Miej nadzieję, że lato jest blisko a mocne promienie słońca rozjaśnią Twoją twarz.

„Samotna Włościanka". Jestem ciekawa, kiedy się poznamy osobiście?

„Jadwiga Limba". Ślicznie brzmi koniec wierszyka.

S. O. S. Nikt mnie nie kocha — nikt nie pamięta, tak mi na świecie ciężko jest. Wyrażam uznanie za ten cudny wierszyk.

„Gladiator". Ślicznie dziękuję za wierszyk „Kwiaty i krople rosy". Czy straszne lubi Pan wieś? Bo w wierszykach często Pan o niej pisze.

Pani R. z Wałdowa zasyłam milutkie pozdrowienia.

„Zabłąkany chłopiec". Za życzenia świąteczne bardzo dziękuję. Przesyłam moc serdeczności.

Pan L. K. Łódź. Czy otrzymał Pan mój list? O ile tak, czemu Pan milczy? Czy taki był zły, że szkoda odpowiedzi?

Pan M. K. Ozórków. Bardzo dziękuję za śliczny liścik. Może poświęci mi Pan jakiś wierszyk na łamach „Krainy", bardzo proszę!

„Łobuz znad Wisły". Chętnie przyjmię Pana jako towarzysza, ale nie jako „Łobuza", tylko jako grzecznego chłopczyka; strasznie nie lubię łobuzów. Czy mieszka Pan może w cichym szkolnym domku na wsi. Ja kiedyś tak mieszkałam i widzę dziś jeszcze ten cichy domek w ogródku pełnym kwiatów. Zasyłam Panu przyjacielski uścisk dłoni.

Może ktoś z „Krainy" mieszka w okolicy i jest często w Bydgoszczy? Chciałabym zapoznać się osobiście. Milutkie pozdrowienia mają „Tajny detektyw" i „Serce Śląskie" oraz cała „Kraina".

BRZYDKI I NIECIEKAWY

„Anna". Przyjmuję Cię do naszego grona pod pseudonimem „Anna", bo „Wzgardzona Czarnula", jest brzydki i nieciekawy. Przede wszystkim nikt Tobą nie gardzi, bo jesteś dobrym dzieckiem, a po drugie odrzuć od siebie uczucie niższości, niegodne rozumnego człowieka.

Życzę Ci powodzenia w naszym kółku i zamieszczam komunikaty:

„Szukający". Może się Pan odezwie?

„Belfer". Proszę skrobnąć parę słów o ciszy wiejskiej, którą tak kocham.

„Wesoła Maruszka". Zaraź i mnie swoją wesołością, żebym miała taki złoty humor jak Ty.

„Samotna Jodełka". Śliczny masz pseudonim. Pozdrawiam Cię!

„Smutna Dziewczynka znad Gopła". Przypominasz mi kilka chwil wesoło spędzonych nad Gopłem. Bądź zdrowa! Nie smuć się!

„Młody Orzeł". Bardzo zazdroszczę Ci lotów w przestrzeni, chętnie chciałabym razem latać, ale to niemożliwe. Zadowoliłby mnie chociaż maleńki liścik rzucony z samolotu.

Wszystkim „Krainiakom" moc pozdrowień.

PRZYJMUJĘ I ŻYCZĘ...

„Szare Dziewczę". Teraz, gdy już nadesłałaś swój adres — przyjmuję Cię z całą serdecznością do naszego grona i życzę, żebyś czuła się w nim, jak w swoim własnym domu.

Pisz często, a na razie przyjmij mój życzliwy uścisk dłoni.

NADESŁAĆ ADRES!

„Mała Sienka". Nie przyjmię Cię do „Krainy wpierw, nim nadeślesz swój adres. Czekam!

WĄTPLIWOŚCI WYJAŚNIMY

„Litwinka". Dziecko kochane, nie wiesz wcale, jak przykro było Twej przyjaciółce, gdy dowiedziała się, że odpowiedź jej listowna sprawiła Ci rozczarowanie. Pocieszam się jednakże tym, że wytłumaczę Ci wszystko dokładnie, gdy odwiedzisz mnie w redakcji. Porozmawiamy sobie wówczas szczerze i obszernie o wszystkich bliskich i interesujących nas sprawach i bez wątpienia zrozumiemy się wzajemnie.

W listach zwracam się do wszystkich oficjalnie i dlatego i Ty zostałaś „Szanowną Panią", a w „Krainie" jesteś moją Drogą „Litwinką", którą w tej chwili serdecznie całuję.

DLA UŁATWIENIA

„Pieśniarz". Odpisuję na list Pana z kwietnia i maja. Piszesz mi dużo o sobie w tonie lekkim, a przecież niesłychanie szczerym. Możesz mi wierzyć, że potrafiłam to ocenić.

Czy sprawy zasadnicze w życiu Twoim uległy w międzyczasie jakiejś zmianie? Pragnę, abyś otrzymał wkrótce dobrą posadę.

Wierzę, że chętnie pomógłbyś mi w pracy, lecz że jest to niemożliwe, więc starczą dobre chęci.

Wiersze nadesłane wraz z listem kwietniowym ocenę miały już w „Tęczce" Wujka Janusza, a te późniejsze odczekają swojej kolejki.

Jeżeli nie sprawi Ci to specjalnej trudności, pisz do mnie na osobnej kartce, abym bez przeszkód mogła załatwiać Twoje sprawy.

Łączę pozdrowienia i przechodzę do komunikatów:

„Halo! „Uśmiech Szatana" — zrewanżowałem się w myśl przysłowia: „Kto w ciebie chlebem, ty w niego kamieniem". Proszę przebaczyć! Pozdrawiam serdecznie.

Jestem nowym, takim świeżo upieczonym „Krainiakiem" i brak mi śmiałości, przeto proszę Panie o okazanie mi zainteresowania. Odpowiedź gwarantowana!

Z PRZYCZYN WAŻNYCH

„Yoshimura" podaje do ogólnej wiadomości, że z przyczyn od niego niezależnych wyjechał z Gdyni i to na czas nieokreślony i dlatego nie będzie mógł utrzymywać kontaktu listownie z „Krainą". Na listy zaległe też nie odpisze. Po powrocie odezwie się znowu, a na razie poprzestaje na ogólnym pozdrowieniu całej „Rodzinki".

Pozostaje nam cierpliwie czekać na przyobiecany znak i życzyć mu pomyślności, co też w Waszym imieniu uskuteczniam niniejszym.

PROSZĘ O ADRES!

„Słodka René". Nie mam Twego adresu, proszę mi go nadesłać w czasie najkrótszym, inaczej...

Pozdrawiam i zamieszczam komunikaty:

„Szukający". Co powiesz na to, gdy się dowiesz, że znam Cię? Daj znowu swą fotkę w „Krainie". Dlaczego sprzeniewierzyłeś się „Krainie" — czyżbyś już znalazł?...

„Młody Orzeł" niech swego stalowego ptaka skieruje na Pomorzu, a o terminie lądowania mnie zawiadomi — zgoda? Czekam więc mocno niecierpliwie.

Przybłęda Leśny — znam Nakło i nakielan — napisz!

„Wit" — czekam na list.

Serce Śląskie — koniecznie napisz do mnie. Znam Katowice, Chełm, Mysłowice itd.

„Uran" — dziękuję za wierszyk mi poświęcony, choć pod innym pseudonimem.

„Armeńczyk", czy mieszkasz w Poznaniu przy Pl. Wolności?

Serwus całej Rodzince!"

KOMUNIKAT „SAFO"

„Jadwiga Limba". Na pytanie „której" znajdzie Pani tytuł w numerze 4 na pierwszej str. Bynajmniej nie uważam Pani za domorosłą, ani koszykową, lecz za bardzo utalentowaną poetkę. Pisze Pani ślicznie, jest w Jej wierszach serce i dusza, a to najważniejsze zalety poety. O ile by moja szara antypatyczna osoba zainteresowała Panią, to chętnie nawiążę z Nią nić serdecznej przyjaźni. Łączę serdeczne pozdrowienia".

„Safo".

MNIEJ KOMUNIKATÓW!!

Zaznaczam stanowczo, że od przyszłego numeru będę skreślała zbyt liczne komunikaty, do druku wybierając po kilka ważniejszych.

Proszę zatem odtąd ograniczać ilość wysyłanych pozdrowień etc. Żadnych reklamacyj, żalów, wyrzutów i próśb nie będę uwzględniała.

Zofia.

PRAGNĘ PRZYPOMNIEĆ CI

„Mała Wróżka“. Kochanie! Z trudem zabrałam się do odpisania na szereg Twoich listów, gdyż wciąż jeszcze boli mnie wspomnienie o śp. „Stęsknionej Dziutce“. Zawsze odpisywałam na Wasze wspólne listy, a teraz... Ciężko jest człowiekowi pogodzić się z tragiczną rzeczywistością!

Jeszcze nie zdążyłam podziękować Wam obu za łakocie, nadesłane na Wielkanoc, a już jednej z Was nie ma między żyjącymi. Och, nie mogę o tym mówić!

Zleciłam naszej administracji przesłanie nr. okazowych na podany przez Ciebie adres. Zapewne ta pani już je otrzymała. Resztę też załatwiłam.

Pragnę przypomnieć Ci, abyś uważała na siebie i gdy lekarze poradzą Ci operację wyrostka robaczkowego, abyś nie zwlekała z tym zbytnio. Zawsze lepiej znosi operację człowiek zdrowy niż osłabiony przedłużoną chorobą.

Zjazdu nie będzie, ale ty możesz i bez niego odwiedzić mnie w redakcji.

Dziecko, nie wiem wiele o osobie, w sprawie której mnie interpelujesz — może zapytasz sama?

Naturalnie, że możesz nadesłać mi swoją fotografię. Wszyscy „Krainiacy“ mogą przecież to czynić.

Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie i przechodzę do komunikatów:

„Biała Uajali“. Dziękuję Ci za list, oraz życzenia świąteczne. Pozdrawiam i całuję Cię! Do zobaczenia! Gdyż niedługo i ja tam się zjawię i nareszcie zobaczę mą kochaną „Koje“. Więc pa!

Dla całej „Krainy“ serdeczności“.

OCZEKUJĘ SPRAWOZDANIA

„Mary z Gdyni“. Rozumiem najzupełniej powody Twego milczenia — ludzie pracy mało mają czasu na obszerną i częstą korespondencję. Przyjmij moje uznanie za ruchliwość w organizowaniu pracy społecznej.

Nie spodziewaj się mnie w tym roku — wybieram się w inny kraniec Polski.

Łączę serdecznie pozdrowienia i oczekuję sprawozdania z pobytu na kursie PWK.

Komunikaty:

„Pozdrawiam „Blankę“, „Marzyciela Mulforda“, p. Tadeusza K. z Gdyni, p. Władka Pacholskiego z majątku Bucewa. A Marylkę Mięcicką z Pomieczyna mocno całuję i proszę o list. „Krainiankom“ i „Krainiakom“ zasyłam serdeczne pozdrowienia i koleżeńskie Pa!“

ZANOTOWAŁAM

„Błędny Ognik“. Dziękuję Ci za pozdrowienie z Warszawy i zaznaczam, że prośbę załatwiłam, a nowy Twój adres zanotowałam.

Powiedz mi, czy nie jesteś przypadkiem chory, bo trochę na to wygląda. Życzę Ci zdrowia oraz zadowolenia i przechodzę do komunikatów:

„Rychno, jesteś cudowna wśród swoich kwiatów; miłe były godziny.

„Marzące Oczy“. Dziękuję! Sprawiłaś mi wielką przyjemność.

„Gwiazdka“. Odnalazłem Cię — Czekaj!

„Anita“ i „Ada“. Urlop spędzam u Was — zgoda?

„Marysi z maleńkiego dworku“ dziękuję i pomódl się za moje zdrowie.

„Niniusia z Brześcia“. I ja pamiętam naszą puszczę Faustynowską.

„Halo! Dwie studentki z pociągu — pozdrawiam Was. Spóźniłem się!“

KOMUNIKATY „PRZEKLĘTEJ IWY“

„Smutna Ślązaczka“. Wiem, że byłaś ogromnie zajęta przy robotach polnych, ale nadszedł okres mniej naglący, więc proszę się zdecydować na napisanie listu do mnie. Zdaje mi się, że miałybyśmy o czym rozmawiać. Dobrze? Czekam — koniecznie!

„Litwinka“. Czy mieszkałaś na Litwie, skąd ten pseudonim? Daj znać coś o sobie w „Krainie“.

„Iza z Sienk“. Czy czasem nie jesteś z Sienkiewiczówki w okolicy Boremla?

Halo! Wołyniacy z „Krainy“ odezwijcie się na jej łamach, mam w głowie niecodzienny projekt. Może go urzeczywistnimy. Czas sprzyja, a jeśli będą tak chęci sprzyjały, to dokonamy na pewno“. *„Przeklęta Iwa“*.



„KA-ER“ POSIADA ISKRĘ BOŻĄ...

„Łobuz w spódnicy“. Bardzo jestem Pani wdzięczny za ten życzliwy odruch w stosunku do brata, t. zn. nadesłanie do mojej „Teczki“ Jego utworów. Przyznać się muszę, że zrobiły one na mnie bardzo duże wrażenie „Ka-er“ — bezwzględnie posiada iskrę Bożą i jest pożądane, aby ją otoczył pewną pieczołowitością. W tym celu, niech po maturze napisze do mnie osobiście i do listu załączy nową serię utworków. „Recepta na wzajemność“ to prawdziwie rozbrajający wiersz. Niewątpliwie przypadnie do gustu wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom.

Ślę Pani, jak i również Braciszkowi, ciepłe uściski dłoni!

RECEPTA NA WZAJEMNOŚĆ!

Raz w ludzi tłumie dziewczynę ujrzałem,
Co czarnym okiem serce me urzekła,
Cóż, gdy z nią bliżej zapoznać się chciałem,
Ona... uciekła!

Na nic się zdały me prośby płomienne,
Na nic słów moich ognista wymowa,
Bo ona serce pewnie ma kamienne
Nie rzekła — słowa!

Wreszcie mi mądrzy rzekli przyjaciele:
„Gdy obok swego staniesz ideału,
Na puste słowa czasu nie trać wiele,
Ale... pocałuj!“

Bo pocałunek cudowną ma siłę,
I po nim każda, choć nie wiem jak płocha,
Przyzna, że jesteś jej serduszku miły,
No i... pokocha!

„Ka-er.“

NIE CHCIAŁBYM...

„Blanka“. „Byłam na Ciebie wściekle zła“... Nie rozumiem! Może mi to obszerniej wytłumaczysz? Nie chciałbym bowiem, aby były pomiędzy nami jakiekolwiek zgrzyty i nieporozumienia. Przyjaźń nasza musi być szczera i jasna!

Wiersz — „Majowe noce“ — dobry! Pójdzie! Pozostałe utwory miejscami za słabe i za rozwlekłe.

Wiersze, o które Pani tak „bombarduje“ — zostały wydrukowane. Czy zgadza się?

MAJOWE NOCE

Przecudne są ciche, majowe noce,
W seledynie jasnej lampy księżyca,
W szepcie fontanny, co tuż wytryska
W szczęścia uśmiechu, co dziś tak blisko,
I z czyichś ust idzie ciche wołanie,
O nocy, daj mi kochać i kochanie!
Miłośnie tulą się białe drzew sploty
O cudne noce, tyle w was tęsknoty,
O białe noce, wiosną przewonione,
O ciche noce dyszące kochaniem,
Tyle w was piękna, czaru i pieszczoty,
Tyle w was cudu i szału ochoty.
Wiosenne noce, wyciągam ramiona
O, wy upojne zawsze niezmienione,
Dajcie mi szczęście, niech się nim upiję
I miłość dajcie, nim zginę, dziś żyję.

„Blanka“.

WIERSZE POSIADAJĄ JESZCZE CHWIEJNĄ FORMĘ!

„Pieśniarz“. Wiersze Pana, przepojone romantyzmem i subtelną grą uczuć — mają jeszcze chwiejną formę. Miejscami są za rozwlekłe, miejscami znowu trącą banalizmem. Posiadają dużo dobrych i dużo złych zalet, pracować jednak warto. Talent jest szczery i ciekawy.

Na list odpowie Panu obszerniej Pani Zofia, ja zaś ograniczę się tylko do przesłania Panu pozdrowień, słów zachęty do pracy i maleńkiej uwagi: utwory, przeznaczone do druku, umieszcza się tylko na jednej stronie papieru!

MODLITWA WIECZORNA

W przedwieczornym chłodzie toną przestworza
Przecudowny świat — o szarej godzinie
W gorących modłach — przed Tobą się korzę
Szept moich psalmów z dźwiękiem dzwonów płynie...

Tak — kiedy dzień ostatnim blaskiem ginie
Kajam przed Tobą, wśród ludzkich głów morza
Błagalny wzrok wznoszę ku Twojej krainie —
Skąd świat błogosławisz — w przygasłych zorzach...

Tyle ran w sercu — a świat taki bierny —
Ty jeden każesz mi iść wyżej... wyżej...
Upadam — dźwigasz... Stopy ranią ciernie...

O wiem, Ty rozumiesz moje szlochanie
Wszakżem tylko człowiek — lękam się krzyża —
Spłyń łaską ciszy — Miłosierny Panie... —

Rożańska.

MÓW DO MNIE!

„Zuch - dziewczynie“ w dowód przyjaźni poświęcam.

Szczerość w Twych oczach przyświeca,
Szczerość brzmi w tonie Twych słów
I płomień duszy mej wznieca —
Ja słucham — mów do mnie, mów!

Ja słucham, jak w czarownej bajce
Słów Twych dziwnego wyznania
I w uczuć swoich mozaice
Czuję, że pragnę kochania.

„Błędny Ognik“.

TAK MI DOBRZE Z TOBĄ...

Tak mi z tobą dobrze lesie
W twoich mrokach śnić,
Śpiew ptaszęcy w dal się niesie,
Wiąże tęsknot nić.

Grajże wietrze, niechaj leci
Srebro dźwięcznych strun,
I w mym sercu niech rozniеci —
Piękno twoich dum.

Tak mi dobrze z tobą lesie...
— czar księżyca trwa...
Wtedy dusza z głębin rwie się
I do wtóru z wiatrem gra.

„Przeklęta Iwa“.

TO LUBIĘ....

Lubię słonko, co pociesza
— nas, ludzi.
Lubię przeszłość, co się nigdy
— nie zbudzi.
Lubię twarze, co się śmieją
— rozkosznie.
Lubię ludzi, co wciąż marzą
— o wiośnie.
Lubię szczęście, co ucieka,
— jak złodziej
Lubię złudę, co mnie chytrze
— wciąż zwodzi.
Lubię marzyć, o przyszłości
— nieznanej.
Lubię wspomnieć o istocie
— kochanej...

Apolinary Żurawski.

DO WODZA

Marszałku, my stale z Tobą,
Chętni, gotowi na bój,
Czekamy — gdy tylko wezwiesz,
Tak staniem na rozkaz Twój!

My pójdziem o każdej porze,
Bez względu na noc czy dzień,
Za Twym rozkazem, nasz Wodzu!
By zniszczyć wroga i wyciąć w pień.

Starzy, kalecy, ubodzy,
Pójdziemy, jak jeden mąż!
O Wodzu w zwartym szeregu!
Prowadź nas i z nami dąż.

Oddamy Ojczyźnie mienie,
Oddamy i życie swe,
By tylko bronić Jej granic,
Wypełnić rozkazy Twe.

„Niepożądany“.

Po nauce będą panie mogły w bibliotece wybrać sobie coś ze świętobliwej lektury. Wszystkie odpowiednie książki są już od dawna przygotowane na oddzielnym stoliku. O godzinie ósmej obiad, po którym będziemy mogły pomówić pod kierunkiem księdza kanonika o przeczytanej lekturze, następnie będzie wspólna modlitwa i rozejście do swych pokoi. Jutro godziny są rozłożone tak samo, z tą różnicą, że rano o 10-ej będzie Msza święta i o 11-ej nauka.

Po tym przemówieniu wszyscy rozeszli się do swych apartamentów.

Jedna tylko Iga udała się do ogrodu. Śniadanie było tak dobre i obfite, że musiała się trochę poruszać — choćby ze względu na zdrowie! Obiegła cały ogród, inspekty, zajrzała do oranżerii — i potem lekka i z dobrym samopoczuciem poszła do siebie. Gdy przechodziła na piętrze długim korytarzem, przy jednych drzwiach zatrzymało ją głośne chrapanie.

O mało nie parsknęła śmiechem, jak pensjonarka. Stłumiła go i poszła dalej cichutko na palcach, by nie przerwać „skupienia" księdza kanonika.

Znalazłszy się u siebie, wyjęła arkusik papieru listowego i napisała długi list do Stefana.

Miała mu przecie tak dużo, tak dużo do powiedzenia!

Gdy usłyszała gong, spiesznie zbiegła na dół. W hallu była podana herbata na eleganckim ruchomym stoliku. Doskonałe ciasteczka poukładane były na srebrnych koszyczkach.

Zajęła się herbatą, spełniając obowiązki „panny domu". Herbata była znakomita i smakowała wszystkim wybornie.

Potem udano się na wspólną modlitwę.

Po odczytaniu przez księdza kanonika odpowiednich modłów, wszyscy chóralnie powtarzali za nim Ojcze Nasz i Zdrowaś.

Iga klęczała milcząc.

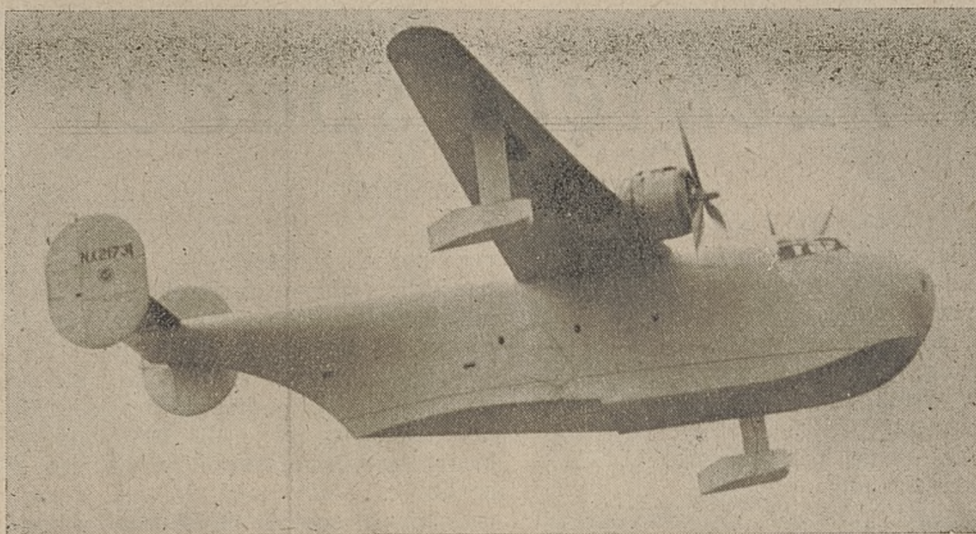
Czuła się ciągle jak na przedstawieniu.

— Czemu, dziecko, nie powtarzasz z nami modlitwy? czy nie umiesz Ojcze Nasz?... Dam ci książkę.

— Umiem, ciociu, to przecie najpiękniejsza ze wszystkich modlitw, jakie istnieją na świecie. Ale w takich warunkach nie umiem jej powtarzać. Nie mogłabym myśleć o jej głębokich pięknych słowach... a bezmyślnie nie powtarzam jej nigdy.



Król angielski Jezy VI z małżonką na pokładzie statku „Empress of Australia" podczas podróży do Ameryki



Najnowszy amerykański olbrzymi wodnosamolot, wagi 25 ton i o rozpiętości skrzydeł 35 metrów

— Ach, dziecko, dziecko drogie! będę się modlić, aby Bóg odpuścił twym rodzicom krzywdę, jaką ci wyrządzili...

Iga popatrzała na nią poważnie i powiedziała stanowczo:

— Nie wyrządzili mi żadnej krzywdy. Jestem szczęśliwa i kocham ich pamięć.

Ciotka Felicja westchnęła ciężko i twarz ukryła w dłoniach.

Ta i owa z pań zaczęła się ciekawie oglądać na szepty między ciotką i siostrzenicą.

„Poknociłam przeznaczoną mi rolę w tym teatrze i robię zamieszanie wśród aktorów — pomyślała Iga zawsze pełna poczucia humoru. — Ale to wina suflera: niepotrzebnie mi podpowiadał."

Obiad wieczorem odbywał się w nakazanym milczeniu. Służba bezszelestnie podawała półmiski i zmieniała talerze. W głębokiej skupionej ciszy dystyngowanie spożywano dary Boże, ułożone w świetnie obmyślone menu.

Koło godziny 10-ej pokrzepiono dusze i ciała udały się na dobrze zasłużony wypoczynek.

* *

*

Następnego dnia wszystko odbywało się według ustalonego programu, przy czym śniadanie, podwieczorek i obiad były potraktowane z równym staraniem i dokładnością i z najbardziej sumiennym zachowaniem postnych dań.

— Czy nie byłyby odpowiedniejsze zwyczajne kotlety z kartoflami — pomyślała Iga. — Inna rzecz, że ten linek po nelsońsku jest znakomity!"

Wieczorem wyszła na taras, by odetchnąć czystym powietrzem, spojrzeć w niebo pełne gwiazd, wchłonąć w siebie trochę cudownej, niczym niezmąconej ciszy wieczornej.

Tam, w domu, było jej niemożliwie duszno moralnie i fizycznie.

Zaledwie chwilę była sama, gdy raptem przy niej stanęła ciotka Felicja.

— O czym myślisz, dziecko?

— O tym, ciociu, że wszechświat jest przeolbrzymi i wspaniały. Mogłabym godzinami patrzeć w gwiazdy, w te tajemnicze, dalekie milionowe światy...

— Zdaje mi się, że odpowiedniejsze myśli byłyby na temat tego, co dzisiaj słyszałaś z wielebnych ust księdza kanonika.

— Właśnie, ciociu, myślałam już o tym. Zastanawiałam się nad tym, dlaczego tak dużo, tak obszernie, prawie wyłącznie mówił o szóstym przykazaniu, o nieczystych myślach, o żądzach, o chuciach, o zdradzie małżeńskiej, o uchylaniu się od macierzyństwa... Widziałam jak te dwie młode mężatki, takie miłe i sympatyczne, aż dostały wypieków! Czy nie ma ważniejszych spraw poza ginekologią! Czyż to jest najważniejsze? Dlaczego nic jeszcze nie słyszałyśmy o rzeczy najpiękniejszej i najważniejszej — o miłości bliźniego?

Ciotka Felicja chciała coś powiedzieć z załamaniem rąk, gdy nagle obok tarasu rozległ się nieśmiały głos:

— Proszę łaski pani dziedziczki...

— A kto to?

— To ja, Hawryluk. Chciał prosić łaski pani dziedziczki o parę snopków słomy, żeby załatać dach, bo się leje do izby, a córka chora. Jakby były pieniądze — kupiłbym, ale nie ma w chacie nic... nawet i chleba już nie ma...

— Nie mam teraz czasu. Idźcie do karbowego, to wam tanio sprzeda. Teraz ciężkie czasy, ja też nie mam na rozdawanie. I tak daję dużo, to tu, to tam.

Chłop stał nieruchomo i kręcił czapkę w rękach. Twarz jego była szara i chuda. Z oczu, zapadłych głęboko, wyglądała głucha, okropna, tłumiona rozpacz. Iga czytała w nich, że to nie brak słomy doprowadził tego człowieka do tego, żeby aż tyle bólu z nich wyzierało. Czuła, że ta słoma to tylko jeden kawałek długiej, uciążliwej, codziennej, jednostajnej, bez jednego promienia nędzy. To jedna z tych kropel, które żłobią kamień.

— Ciociu... — zaczęła gorąco.

— Ne t'en mèle pas — przerwała jej ciotka. — Idźcie do karbowego, ja nie mam czasu.

Chłop odszedł ciężkim krokiem. Głowa mu zwisła ku przodowi beznadziejnym ruchem, pełnym tragicznej rezygnacji.

— Ciociu, ja za niego zapłacę — i dajcie mu tej słomy. Zawołam go zaraz...

— Ciotka Felicja zatrzymała ja za rękę.

— Daj spokój, moje dziecko. I nie mieszaj się do tych spraw. Na te rzeczy trzeba spokojnie patrzeć. Ciągle są takie żebraniny i gdyby lekkomyślnie wszystkie je spełniać — po tygodniu nie moglibyśmy pomagać prawdziwej nędzy. (C. d. n.)

Przeklęty spadek

POWIEŚĆ SENSACYJNA

— Nie zwróciła się pani oficjalnie do Scotland Yardu, są bowiem w tej sprawie pewne okoliczności, o których nie trzeba, aby wiedział ogół...

W miarę, jak mówił, twarz kobiety przybierała wyraz zdumienia, graniczącego z przerażeniem.

— Ależ panie, pan wszystko wie...! — wyrzekła z trudem.

Potrząsnął głową.

— Nie, pani. Wiem to tylko, co powiedziałem przed chwilą. O zbrodni dowiedziałem się z dzienników.

— A jednak...

Zamyśliła się, a twarz jej znowu przybierać zaczęła wyraz twardy i nieubłagany.

— Wiem, że można liczyć na pańską dyskrecję — rzekła po chwili głosem mocnym i zimnym — i dlatego zdecydowałam się całą tę straszną dla mnie sprawę powierzyć panu. Przypuszczam, że czytał pan dokładnie dzienniki, toteż uważam za zbyteczne opowiadać wszystkie szczegóły odnalezienia zwłok. Bo hipotezy dokoła tej sprawy, jakie dziś wszyscy wysuwają na własną rękę, jak mniemam, pan także uważa za niedorzeczne, a nawet wręcz głupie. Nie będę tedy traciła czasu i od razu przystąpię do rzeczy.

Zatrzymała się chwilę dla nabrania tchu. Była to już zupełnie inna kobieta: chłodna, opanowana, spokojna. Nagła ta zmiana sprawiła, że na mr. Thompson'a przyszła teraz kolej dziwić się. Nieco później dopiero pojął tego przyczynę.

— 29 lat temu — ciągnęła przybyła — gdy miałam niespełna 16 lat — zostałam zniewolona przez młodego studenta budownictwa, Stanford'a, obecnie milionera amerykańskiego. Urodziłam syna, Karola, którego pokochałam tak silnie, jak silnie nienawidziłam mego uwodziciela. Długie 15 lat borykałam się z życiem, zarabiając pracą rąk na chleb dla siebie i syna, któremu poświęciłam się w zupełności, nie wychodząc za mąż, choć nieraz miewałam korzystne propozycje. Nie chciałam, aby kiedyś wytykano synowi memu jego pochodzenie... Gdy miał 16 lat, Stanford przypomniał sobie moje istnienie, a dowiedziawszy się, że mam syna, przyznał się do ojcostwa i przeprowadził to urzędowo. Jednocześnie nadesłał mi 5.000 dolarów i list. I jedno i drugie odesłałam mu bez słowa. Od tego czasu miał na tyle taktu, że przestał się nam narzucać...

Urwała. Widać było, że mimo całego hartu mówienia o tym wszystkim kosztowało ją dużo wysiłku. Popatrzyła chwilę w okno i kontynuowała dalej:

— W maju roku ubiegłego Karol wyjechał do Dublina, twierdząc, że musi dowiedzieć się na miejscu szczegółów co do studiów z zakresu budowy maszyn. Już na drugi dzień jednak otrzymałam od niego list, w którym donosi, że ojciec jest w Dublinie i że uważa za swój obowiązek doprowadzić do zgody między rodzicami. Nie potrzebuję chyba mówić, jak mnie to oburzyło, toteż z uczuciem ulgi przeczytałam list który nadszedł od Karola nazajutrz po pierwszym.

Otwarła torebkę i wydobyła z niej ćwiartkę zwykłego papieru listowego. Podała go Pinspektorowi.

— Proszę, niech pan czyta. Sądzę, że wyciągnie pan z tego jakieś wnioski.

Mr. Thompson najpierw obejrzał list. Był zmięty i poplamiony, a atrament, którym pisano, został sfabrykowany domowym sposobem z ołówka kopiowego.



Czołówka propagandowa Lasów Państwowych posiada oryginalny teatr kukiełkowy

— Przepraszam panią, — zagadnął — czy w takim samym stanie znajdował się list, gdy otrzymała go pani od syna?

Potwierdziła.

— Właśnie mnie to samą zdziwiło. Karol był bardzo schludnym chłopcem i nigdy nie pisałby na podobnym świstku, gdyby znajdował się w normalnych warunkach. Potwierdziła to i pismo jego, doprawdy niezwykłe...

Mr. Thompson rozłożył ćwiartkę i czytał:

„Droga Mamo! Zaszło jakieś nieporozumienie. Ojca nie ma w Dublinie. Jestem mocno rozczarowany. Nie przypuszczam, aby chciano mnie wprowadzić w błąd, ale muszę wyznać, że w głębi duszy coraz więcej jestem o tym przekonany. Wkrótce przyjadę do domu, to wszystko Mamie opowiem. Teraz muszę już kończyć, widzę bowiem z okna tych dwóch panów, którzy udzielili mi wiadomości o przyjeździe Ojca. Idą do mnie.

Ucałowania rączek zasyła Karol."

Pismo wskazywało nietylko na pospiech, ale i na zdenerwowanie autora. Wiersze były nierówne, litery krzywe. Co o tym myśleć? — zadał sobie pytanie mr. Thompson — głośno zaś zagadnął:

— I to wszystko, co pani wie o tej ponurej sprawie?

— Prawie wszystko. Syna od tego czasu nie widziałam. Gdy zaginął, zawiadomiłam policję, ale nie wspominałam ani o rzekomym przyjeździe Stanford'a do Dublina, ani też o listach syna. Do dziś nie mam oficjalnych danych o jego losie, ale morderstwo dublińskie, o którym szczegółowo czytałam w pismach, upewniło mnie ponad wszelką wątpliwość, że chodzi tu o Karola. Nic pozatem nie wiem. Składam tę sprawę w pańskie ręce z całą ufnością, że zbrodniarze zostaną wykryci i ukarani, jakkolwiek powinnam obawiać się, że dowiedziawszy się, kim jestem, odmówi mi pan pomocy...

Powiedziała to drżącym głosem, a ciemny rumieniec przykrości oblał jej twarz.

— Kimże pani jest, na Boga...? — wykrzyknął, poznawszy teraz niebywałe jej podobieństwo do kogoś, z kim stykał się już nieraz.



Idylla na wsi

— Jestem Klementyna Żarecka, siostra ośmiu braci, jędyna siostra ośmiu najgorszych złoczyńców, jakich wydała ziemia... Noszę obecnie nazwisko Burke.

— Pani...? Pani... Tak, tak, to podobieństwo... — szeptał inspektor i nagle zrodziło się w nim podejrzenie.

Oczy jego wpiły się w nią, jak dwie ostre, przeszywające szpilki. Ale zaraz odwrócił wzrok.

Ta kobieta była szczera. I nie miał już wątpliwości, że siostra potwornych zbrodniarzy nie jest kobietą występną.

V. ZEMSTA MAŁP

Zanim O'Sullivan zdołał odnaleźć Daisy lub Ellen do O'Sourke House nadszedł pan domu.

Był to niski, krępy brunet o figurze raczej śmiesznej. Lecz twarz, jego, ponura i odpychająca, nakazywała rezerwę.

Na jego widok goryle poczęły zgrzytać zębami i uderzać się pięściami po piersiach. Było to nieomylną oznaką, że szykują się do walki. Ho-To-To pobladł. Zdawało się, że w twarzy jego nie ma kropli krwi. Powstał z krzesła, prostując swą olbrzymią postać i patrzył ponuro w oczy mordercy. Nie odezwał się jednak ani słowem, chociaż szczegółowo przygotował powitanie, które miało poprzedzić akt zemsty. Głos zamarł w jego gardle: myśl, że jest to ojciec Ellen — odebrała mu siły i sparaliżowała zamiary.

— Tatku, to kuzyn Bob O'Sullivan. Przed godziną przyjechał z Afryki... — rzekła Daisy, widząc, że ojciec ze zdumieniem i trwogą przypatruje się milczącemu Ho-To-To i złowrogo kołyszącym się na nogach małpom.

— O'Sullivan...? — wyszeptał O'Sourke. Twarz jego zzieleniała ze zgrozy. — Hundred devils, to niemożliwe... — wykrzyknął.

— O jednak tak jest, jak mówi dziewczyna! — wycedził zwolna Ho-To-To, odzyskawszy nagle równowagę. — Z rąk nikczemnych ludzi uratowały mnie małpy. Tak, mr. O'Sourke, dzikie, nierozumne małpy.



Podarki wiosny...

Twarz zbrodniarza stała się nagle biała jak kreda, a ręce jego poczęły się trząść. Obłędne przerażenie zmroziło krew w jego żyłach. Starał się opanować, chciał uśmiechnąć się przyjaźnie, ale twarz jego wykrzywiła się w potworny grymas trwogi i rozpaczy.

Zbliżył się o dwa kroki do Ho-To-To, wymamrotał jakieś niezrozumiałe słowa powitania i — padł zemdlony na podłogę.

Córki przypadły doń, chcąc podnieść go, ale było to ponad ich siły. Daisy spojrzała błagalnym wzrokiem na O'Sulivan'a. Przez chwilę pasował się z sobą, wreszcie podszedł do leżącego, uniósł go z ziemi i złożył na otomanie. Nienawiść jednak do tego człowieka tak była intensywna, że odwrócił się szybko do okna, by nie patrzeć na niego, czuł bowiem, że w następnej chwili jednym uderzeniem pięści roztrzaskałby mu czaszkę.

Daisy pobiegła po wodę, Ellen, zaś, podtrzymując bezwładną głowę ojca, rzekła wyniosłym tonem:

— Proszę wyrzucić małpy do ogrodu, mr. O'Sullivan!

Ho-To-To nie odpowiedział. Bodaj nie słyszał nawet słów dziewczyny.

Ellen, nie odwracając się, powtórzyła głośniej i ostrzej:



— Czy nie słyszał pan? Proszę wypędzić małpy do ogrodu, w przeciwnym razie zmuszona będę zastrzelić je!

O'Sullivan odwrócił się nagle i patrzył z uśmiechem w gniewną twarz dziewczyny.

— Ogłuchł pan, mr. O'Sullivan! — krzyknęła z pasją, zrywając się z klęczek.

— Nie trzeba się gniewać, miss Ellen — wyrzekł spokojnie Ho-To-To, utkwiwszy wzrok w jej oczach, miotających błyskawice. — Nie rozumiem, dlaczego pani żąda.

— Panie! Chyba nie wyobraża pan sobie że będę mu tłumaczyła się ze swych poczynań we własnym domu!

— Ależ, Ellen... — szepnęła z wyrzutem Daisy, ukazując się w progu.

— Proszę cię milcz! To do ciebie w żadnym razie nie należy! Daję panu dwie minuty czasu — zwróciła się do O'Sullivana. — O ile w tym czasie nie usunie pan małp, zacznę strzelać.

— Sądzę, że drugi raz nie zdołałaby pani wystrzelić, miss Ellen — zauważył.

— Co? Co takiego, mr. O Sullivan?

— Mówiłem, że drugi raz nie zdąży już pani wystrzelić, gdyż Lo-Wo i Mo-To zamienią jej ciało w krwawą i bezkształtną masę.

— Pan mi grozi, mr. O'Sullivan?

— Nie, miss Ellen, bynajmniej, ostrzegam tylko.

— Nawet bezczelność ma swoje granice, mój panie. Nie myślę zresztą dyskutować z nim. Dwie minuty upłynęły!

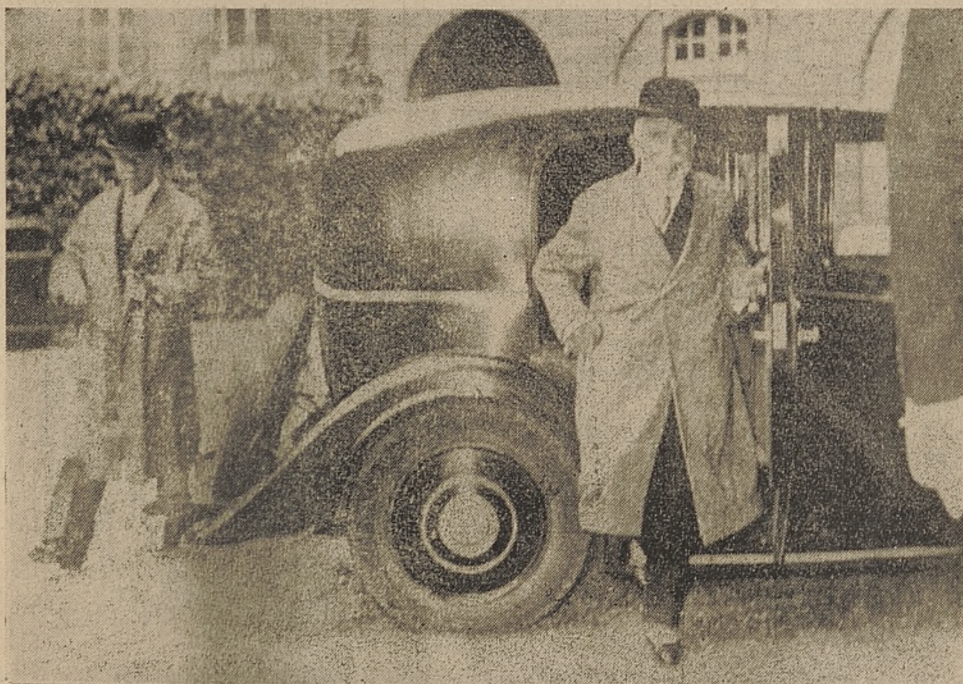
Skierowała się w stronę kredensu.

— Pani nie ruszy się ani kroku dalej, miss Ellen! — rzekł stanowczo Ho-ToTo, zastępując jej drogę.

— Pan chce mi zabronić?... Pan — mnie?

— Tak, ja — pani! Dla jej własnego dobra.

Skrzyżowawszy ręce na piersi, patrzył w jej oczy, otwierające się coraz szerzej i szerzej. Wyczytał w nich oprócz gniewu — zdumienie. Szeroko rozwarte jego nozdrza wchłaniały zapach jej ciała, kuszący,



Do Paryża przybył egipski następca tronu ks. Mohamed Ali, stryj króla Faruka



Duce dokonuje przeglądu swych najmłodszych obywateli

niepojęty — a przecież przeczuwany. Pyszna była w tej wyzywającej pozie, patrząca w górę, w jego twarz. Piersi jej falowały, zdając się rozsadzać cienką tkaninę sukni, a chrapki drgały z gniewu. Ho-To-To odczuwał coraz szaleńsze pragnienie pochwycenia jej w ramiona. Och, porwać ją teraz, unieść gdzieś w dale, gdzie byłaby zdana niepodzielnie na jego łaskę i niełaskę, jemu tylko oddana!

— Zastąpił mi pan drogę, mr. O'Sullivan! — syknęła.

— Tak, pani — odparł nienaturalnym głosem.

— Zmuszę pana, by zeszedł z tej drogi!

Ho-To-To roześmiał się cicho. Takie ptaszę, które całe życie mógłbym na rękach nosić bez zmęczenia, zmusi jego, pana Wielkiej Puszczy, nieustępującego nikomu i nie obawiającego się nikogo, do zejścia jej z drogi! Śmiał się długo.

Śmiech ten był oliwą dolaną do ognia. Ellen odepchnęła O'Sullivan'a całą siłą, a ponieważ nie spodziewał się tego, szerokim łukiem zatoczył się na stół.

W jednym mgnieniu oka był już jednak przy niej, gdy chwytała leżący na kredensie rewolwer. Wytrącił jej broń, która, upadając na podłogę, wypaliła, poczem uniósł dziewczynę w górę i przytrzymał w ramionach, choć broniła się rozpaczliwie, drapiąc go, gryząc i odpychając rękami i kolanami.

Nie widział, że Daisy, wybuchnąwszy głośnym szlochem, wybiegła z pokoju, nie zdawał sobie sprawy, że O'Sourke, otrzeźwiony hukiem wystrzału, podniósł się z kanapy i pojąwszy ukradkiem rewolwer, cofnął się w kąt pokoju...

Ciepło ciała dziewczyny, trzymanej w ramionach, odurzało olbrzyma i napędzało mu krew do głowy. Wysiłki jej, by uwolnić się z jego objęć, jeszcze bardziej odbierały mu równowagę.

Upływały sekundy i minuty, zapierające oddech w piersi — i oto O'Sullivan pochylił nagle głowę i rozerwawszy zębami pajęcze szaty dziewczyny, wpił się rozpalonymi wargami w jej białe, prężne piersi. Zupełnie bezsilna, poddała się rozkoszy tego pierwotnego pocałunku i zwisła w jego ramionach, odrzucając w tył głowę i przymykając oczy. Nie broniła się już, gdy Ho-To-To, zerwawszy zębami pozostałe strzępki sukni, począł wodzić ustami po jej gładkich ramionach, ani też, gdy nagłym ruchem odrzuciwszy pończochy, całował jej drżące nogi.

Olbrzym stracił poczucie czasu i miejsca. Nie słyszał huku wystrzału, nie słyszał wściekłego ryku goryli.

O'Sourke podstępnie wypalił z rewolweru w plecy O'Sullivan'a, a kula jednak — zamiast w olbrzyma — ugodziła w bok Lo-Wo. Zwierz z głuchym rykiem rzucił się na mordercę i nim zbrodniarz zdołał wystrzelić po raz drugi, porwał go straszliwy uścisk. Rozległ się ohydny trzask łamanych żeber, mrożący krew w żyłach krzyk, chrzęst kręgosłupa O'Sourke'a, przegryzionego przez nadbiegłego Mo-To — i morderca, wyrzuciwszy ustami fontannę krwi, wyzionął ducha.

Rozjuszone małpy wydzierały sobie nawzajem jego zwłoki, ciskając je na ściany i meble. Nim O'Sullivan, przypatrujący się osłupiałym wzrokiem strasznej scenie, zdołał uświadomić sobie, co zaszło, ciało O'Sourke'a było już bezkształtną, ohydną lepką masą...

Nagłe ukazanie się Daisy, która z rozpaczliwym krzykiem osunęła się na kolana u zwłok ojca, położyło kres potwornym igrom goryli. Obrzuciwszy dziewczynę podejrzliwym, niemal ludzkim spojrzeniem, odeszły pod ścianę.

Ho-To-To nawet wówczas nie oprzytomniał jeszcze i dopiero rozpaczliwy cios w pierś, jaki zadała mu Ellen, chcąc oswobodzić się z jego objęć, przywrócił mu świadomość.

Nie zdobył się jednak nawet na jedno słowo. Apatycznie skinął głową i podszedłszy do trupa, usiłował oderwać od niego Daisy, zbroczoną krwią.

— Precz! — krzyknęła, zanosząc się od płaczu. — Proszę zostawić mnie w spokoju!

Ellen tymczasem biegła — jak jedna z furyj — do urzędu policji. W mózgu jej, rozgorączkowanym przez chwilę dzikimi pocałunkami O'Sullivan'a, zrodziła się jeszcze większa nienawiść, niż odczuwała do niego poprzednio. Pragnęła uwięzienia Ho-To-To i zabicia małp, pragnęła widoku ciała Afrykanina, kołyszącego się na stryczku szubienicy...

W kwadrans później do pokoju wpadło sześciu konstabli z rewolwerami gotowymi do strzału. Za nimi wbiegła Ellen.

— Oto morderca! — krzyknęła dziko, wskazując ręką O'Sullivan'a. — Bierzcie tego zbrodniarza!

— Hands up! — zawołał dowodzący konstablami sierżant Betcher, mierząc z rewolweru w głowę Ho-To-To.

— Zwariowałeś pan?... — rzekł spokojnie O'Sullivan, patrząc na niego ze zdumieniem.

— Ręce do góry, powtarzam!

— Nie rozumiem, czego chcesz pan ode mnie!... — zawołał z gniewem O'Sullivan.

— Natychmiast ręce do góry, bo każę dać ognia!

— Radzę wycofać się, póki ostatecznie nie stracę cierpliwości! — wrzasnął w odpowiedzi Ho-To-To. — Te wasze pukawki możecie schować na wróble; ja się ich nie zleknę! Z jakiej racji mam podnosić ręce do góry?

— Dość tego! — zawołał z oburzeniem sierżant — Przed chwilą zamordowałeś pan człowieka i udajesz pan niewiniątko?!...

— Ależ to on właśnie zamordował mego ojca i zranił mnie ciężko w Afryce, a dziś usiłował zastrzelić mnie po raz wtóry! — wrzeszczał Ho-To-To, wskazując na zniekształcone zwłoki O'Sourke'a. I tym razem zawdzięczam życie swoim wiernym gorylom.

— Kłamie! — krzyknęła Ellen, podbiegając do niego z zaciśniętymi pięściami. — Kłamie, od początku do końca kłamie! Ojciec witał go serdecznie, skąd więc nikczemne inwektywy, że chciał go zabić w Afryce?! A dziś ojciec strzelił do niego, ale musiał to uczynić, aby ocalić mnie z jego rąk!

O'Sullivan patrzył na nią ze zdumieniem. Po twarzy jego przebiegł skurcz bólu. Przesunął ręką po czole, po czym — nagle zdecydowany — odezwał się cicho:

(Ciąg dalszy w nast. numerze)



Wesoły wyjazd na majówkę

RAJ KOBIET



Jak się ubrać do pracy w ogrodzie

K 26 617. Przemiły fason garnituru ogrodowego dla Pani. Spódnica — spodnie z wzorzystego kretonu ma dwie naszywane kieszenie, w pasie ściągnięta jest aksamitką w kolorze bluzki i ma oryginalne, na kształt fartuszka, wykończenie. Bluzeczka koszulkowa uszyta z płócienka w kolorze kwiatów

K 26 616. Praktyczny strój ogrodowy z niebieskienaspódnicy lub kontrastowym do całości. go płócienka. Spódnica — spodnie uchwycona jest szerokim pasem w kibici i powyżej zapięta na szelki. Bluzeczka płócienna w drobną kratę.

K 36 960. Którą z pań nie ma sympatii do spódnicy — spodni, może uszyć sobie tę śliczną sukienkę. Jest ona bezpretensjonalna, lecz niesłychanie wdzięczna. Na jej uszycie posłuży nam np. brązowy kreton w zielone lub pomarańczowe grochy. Bluzeczka sportowa, z wykładanym kołnierzykiem, zapinana z przodu na rząd guziczków.

K 26 657. Ładna sukienka ogrodowa z bluzeczką z impregnowanego jedwabiu, zarysowanego w delikatną kratkę.

Spóźniona wiosna

Chłodny maj dał się we znaki. Charakterystyczną rzeczą jest, że nie spotykamy typowo letnich płaskich futer, lecz, jeżeli mamy do czynienia z futrem, jest to prawdziwe futro miękkie i puszyste, z którego robi się całe peleryny i okrycia. Klasyczny lis z ogonem zupełnie zniknął z widowni. Został pocwiartowany, spłaszczony i oskalpowany. Pod względem koloru faworyzowany dotychczas srebrny lis ustąpił miejsca — niebieskiemu. Jest to gatunek może mniej efektowny, ale daleko subtelniejszy w kolorze, puszystszy, miększy, i bardziej twarzowy. Cena jest ta sama, przy czym futra na ogół staniały, szczególnie ze względu na porę roku. Prawdziwy, okazały srebrny lis, który niedawno jeszcze kosztował 800 złotych, kosztuje obecnie 450 zł, a czasem można kupić i za 400 zł. wcale ładnego lisa. Dużo tańsze i niemniej efektowne są peleryny z żółtych lisów lub rysiów. Zamiast peleryny w ścisłym tego słowa znaczeniu może być luźny żakiet z popimi rękawami. Żakiet taki przyda się i do letniego kostiumu w podróży i z powodzeniem zastąpi wieczorem — sortie. Białe popielicowe brzuszki na długie płaszcze to pasja Paryża. Łapki, brajtszwance, białe, krócziutko jak plusz, strzyżone baranki — to wszystko stanowi szykowne typy okrycia na wieczory i chłodne dni lata. Krajane w poprzek nurki i skunksy należą do najelegantszych i najdroższych futer tego sezonu. Egzotyczne czarne kozy idą na peleryny dla najbardziej ekscentrycznych modniś.

A teraz jeszcze kilka słów na temat woalek. Szaleństwo woalek nie ustaje, jak się przypuszczało, ale wzrasta w zastraszający sposób. Kapelusze na ogół pozostają te same: małe, płaskie talerzyki, zakończone komicznymi główkami; zamiast małych, drobnych bukiecików i girlandek występują teraz wielkie kwiaty, stylizowane i wymyślne.

Przyjęła się moda ciemnych sukienek w białe kliny, szerokie u dołu i coraz bardziej zwężające się im wyżej i bliżej pasa. Dół sukni zakończony jest albo białym, ząbkowanym pasem, albo szeroką, marszczoną koronkową plisą. Kto śmielszy może zaryzykować i zamiast tej imitacji włożyć prawdziwą halеczkę sztywną i szeleszczącą. Płaszczyki, albo bardzo luźne, szczególnie u dołu i zakończone u góry małymi, podniesionymi kołnierzykami, wszytymi w krótki karczek, albo, ściśle opięte w talii i kloszujące tylko dołem.

Ze wszystkich kolorów biały wysuwa się na plan pierwszy. Bez białego nie może się obyć ani jedna kreacja. Jeśli biały nie jest wyłącznym kolorem, musi być albo tłem, albo deseniem, a co najmniej przybraniem.

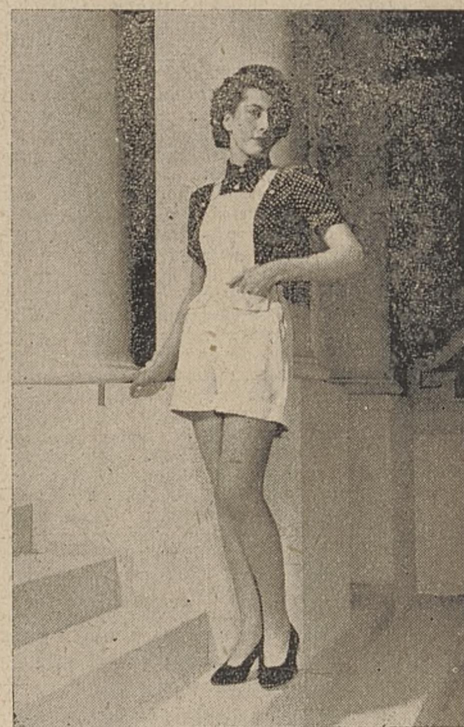
Modny maquillage jest odmienny nieco od dotychczasowego. Zadaniem jego jest nie tylko upiększanie, ale zmiana charakteru twarzy w zależności od pory dnia i typu toalety. Do rannego gładkiego uczesania brwi nie należy przyciemniać zupełnie, ani przedłużać ołówkiem, najwyżej można powlec je warstewką brylantyny lub tłustego kremu. Górnej powieki również najlepiej nie ruszać i tylko lekko natłuścić, rzęsy można podtuszować, ale bardzo delikatnie i lekko, usta również lekko podkreślić i tylko po brzegach, żeby uwypuklić ich rysunek, nos powlec pudrem kremowym, a policzki naturalnym cielistym odcieniem, bez różu.

DOBRA gospodyni

Potrawy wiosenne

Liście szczawiowe na rosole. Ugotować rosół z wołowiny i zagotować na nim sporą garść małych listków szczawiowych obranych, opłukanych i obsuszonych z wody. Osobno ugotować, licząc po jednym na osobę, jajka w koszulce i włożyć ostrożnie do wlanego już do wazy rosołu.

Pieczeń wołowa „à la Jardinière". Gruby kawał zrazówki zbić dobrze pałką, oskrobać, nasolić pół godziny naprzód i obrumienić na rozpalonym maśle. Wziąć dużo jarzyn: marchew, pietruszkę, selery, kalarepę, końce szparagów, jedną cebulę pokrajać w plastry, włożyć trochę na spód rondla, potem dać pieczeń, przykryć resztę jarzyn, zlać masło, na któ-



Wdzięczny strój ogrodowy, złożony z króciutenkich spodni, których górna partia ma kształt fartuszka na szelkach. Bluzeczka ciemna w grochy koloru spodenek.

rym się pieczeń rumieniła, dodać szklankę czerwonego wina, trochę korzeni i dusić pod przykryciem, aż będzie miękka. Potem jarzyny i sos przefasować przez sito, polać nim pokrajaną pieczeń na półmisku, a naokoło obłożyć grupami jarzyn, osobno przygotowanymi, jak marchewką, szparagami itp.

Szpinak z jajami na twardo. Poobierane z szypułek liście szpinaku opłukać czysto, wrzucić do gotującej się osolonej wody, zagotować przez 5 minut, odcedzić i kilkakrotnie przelać zimną wodą. Dzięki temu zachowuje ładny zielony kolor. Gdy już dobrze ocieknie z wody, posiekać go, przefasować przez sito i włożyć do rondla, w którym zasmażyć na biało łyżką masła z łyżką mąki i rozprowadzić pół szklanką słodkiej śmietany. Dodać trochę cukru do smaku i poddusić jeszcze szpinak, aż się dobrze wysadzi. Tak przyrządzony ułożyć w piramidę na okrągłym półmisku i ugarnirować plasterkami jaj, ugotowanymi na twardo.

Szparagi na zimno. Szparagi obrane z włókien i oblanżerowane w słonej wodzie włożyć do wody z solą i cukrem i gotować tak długo, aż będą miękkie. Potem je wystudzić. Łyżkę musztardy francukiej utrzeć z czterema łyżkami oliwy, jedną łyżką octu, solą i białym pieprzem; wlać do sosjerki i podać do szparagów.

Sałata z łodyg selerów. Obrać łodygi selerów liściastych, zmieszać z roszpanką i posoliwszy zaprawić musztardę, oliwą i octem.

Sałata z rzerzuchy wodnej. Obrać młode liście z tej rośliny (wiosną) opłukać, a gdy ociekną z wody, przed samym podaniem zaprawić oliwą i cytryną lub octem.

Marchew z groszkiem lub szparagami. Pokrajaną marchew podlać odrobiną wody lub bulionem, dołożyć masła i gotować do miękkości. Osobno ugotować groszek lub szparagi w słonej wodzie, niezupełnie miękko i zmieszać razem z marchwią. Zasmażyć masła z mąką, wlać do marchwi i zagotować jeszcze raz. Można ją też zaprawić śmietaną rozbitą z mąką; przed wydaniem wsypać trochę usiekanego kopru.

ŚWIAT i ŻYCIE

O sile ciśnienia powietrza

Ciśnienie powietrza i jego znaczenie dla procesów fizyczno - chemicznych jest dziś znane każdemu uczniowi szkoły średniej czy powszechnej. Badania nad tym zjawiskiem są jednak dość późnej daty, sięgającej zaledwie kilka wieków wstecz. Starożytność nie miała o tym najmniejszego pojęcia. W świecie zjawisk rzeczywistych myśliciele starożytni, jak Arystoteles, Platon i inni, byli wielkimi ignorantami Arystoteles np. w jednej ze swych rozpraw przyrodniczych opisuje, że mucha ma osiem nóg. Wielki pisarz francuski, Wolter, w swym „Słowniku filozoficznym" podkreśla, że Platon nie byłby zdał egzaminu maturalnego z dziedziny przyrody, fizyki czy chemii, co nie wyklucza, że był jednym z najgenialniejszych i najgłębszych myślicieli starożytności. Ten sam Wolter zresztą w dziedzinie zjawisk fizycznych posiadał wiedzę niewiele większą od mędrców starożytnych. M. in. kwestionował on już wówczas wysuwaną teorię o drganiach cząsteczek powietrza przy przenoszeniu fal głosowych. Tak samo niezupełnie jasne było dla niego zjawisko ciśnienia powietrza, o którym wie dziś każdy sześcioklasista. A przecież sto lat przed Wolterem niemiecki uczony, Otto von Guericke, zademonstrował przed Reichstagiem w Magdeburgu w 1654 r. swój eksperyment z kulami, wykazujący siłę ciśnienia powietrza.

Guericke, jak wiadomo, posłużył się dla przeprowadzenia swego eksperymentu dwiema kulami, — ściśle do siebie dostosowanymi, po czym wypompował z kuli powstałej z połączenia obu części powietrze. Zewnętrzna siła ciśnienia powietrza na kulę, nierównoważona ciśnieniem wewnętrznym była tak wielka, że 8 koni nie mogło dwóch półkul rozerwać.

Ciśnienie powietrza, działające na obie półkule odpowiadało jednemu kilogramowi na 1 cm kwadratowy. Ten stosunek nazywamy ciśnieniem jednej atmosfery. Jeśli mówimy, że w kotle parowym panuje ciśnienie 30 atmosfer, rozumiemy przez to, że na każdy cm kwadratowy wewnętrznej powierzchni kotła działa siła, równająca się 30 kg. Ostatnie lata wzbogaciły znacznie nasze możliwości doświadczalne z ciśnieniem powietrza, które dziś umiemy doprowadzić już do 120.000 atmosfer. Pod tak olbrzymim ciśnieniem zmieniają się właściwości materii, poddanej temu eksperymentowi. Okazało się, że zwykła oliwa do smarowania maszyn, pod ciśnieniem 60.000 atmosfer nabiera twardości miedzi, a przy ciśnieniu 120.000 atmosfer objętość masy oliwy zmniejsza się o połowę. Szczególnie doniosłe są doświadczenia bakteriologiczne, przeprowadzone w warunkach zwiększonego ciśnienia. I tak okazało się, że niektóre bakterie ginęły pod ciśnieniem 30 tys. atmosfer.

Dla pań domu interesujący będzie ten szczegół, że mleko, poddane przez krótki czas wysokiemu ciśnieniu, nie ulega przez jeden miesiąc zakwaszeniu.

Czy ryba może utonąć?

Nawet największej rybie — wielorybowi może się wydarzyć wypadek zatonięcia. Wieloryb musi co pewien czas wypłynąć na powierzchnię wody, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Istnieje pewien gatunek ryb „pełzających". Ryba ta musi co dwie minuty wypływać na powierzchnię wody. „Pełzająca ryba" posiada zresztą i te właściwości, że doskonale czuje się na powierzchni ziemi, wdrapuje się na małe drzewka itp., gdzie znajduje potrzebne dla siebie pożywienie: małe muszki, owady, robaczki itp.

Klęska zwolenników teorii geocentrycznej

Wyjątkowo sensacyjna wiadomość nadeszła z Ameryki. Sen Wellsów i Flammarionów, że ziemia nie jest jedyną planetą, zamieszkałą przez żywe stworzenia, urzeczywistnia się. Odkrycie, które zrobiono w Ameryce, zadaje wielki cios zwolennikom teorii geocentrycznej.

— ● —

Między San Francisco a Los Angeles jechał spokojnie szosą pewien handlarz.

Nagle rajską atmosferę kalifornijskiego dnia letniego przeciął ogień, który bluznął z nieba. Piorun diabelski szum i żarząca się masa kamienna spadła na autostradę i przedziurowała beton, tworząc głęboki i dość szeroki krater.

Był to jeden ze stu milionów meteorów, które spadają na ziemię, lecz przebywszy ogromną drogę, rozpylają się w powietrzu tak, iż przyciągnięte siłą grawitacji na naszą ziemię, stanowią niedostrzegalne okiem ziarenka.

Tym razem upadł nie mały odłamek meteoru, lecz trzy — kilowa masa.

Handlarz ów zląkł się, lecz pojął, że należy zameldować policji o tym tajemniczym pasażerze z nieba. Policja przekazała meteor słynnemu obserwatorium w Mount Wilson.

Zajął się nim dyrektor obserwatorium znany mikrobiolog Lipman. A teraz stał się cud, którego nie dojrzało jeszcze dotychczas żadne oko ludzkie.

W szczelinach meteoru, dość głęboko, skonstatował profesor istnienie żyjątek, drobniusieńkich mikrobów — liliputów, — których poddał działaniu zimna i gorąca o wysokim i niskim nasileniu temperatury, lecz to ich nie zdołało zabić.

Odkrycie prof. Lipmana, gdy zostanie skontrolowane, może się stać jednym z największych odkryć ostatniego stulecia. Jeśli nie więcej. Odkrycie to zrehabilituje może wszystkie sny i fantazje ludzkie, dotyczące istnienia żywych stowarzyszeń na planetach i gwiazdach.

Maleńki pyłek w nieskończonej przestrzeni świata, który się nazywa siemią, stacza się powoli z tronu. Nasza planeta nie jest jedynym siedliskiem życia.

Korzyści z piorunów

Ogólnie jest wiadomym fakt, że każda burza odgrywa w naturze na ogół, o ile nie ma większego nasilenia, pożyteczną rolę, zwłaszcza gdy po upalnym dniu, gęste krople deszczu oczyszczą atmosferę. Natomiast pioruny przeważnie uważa się tylko za szkodliwe zjawisko.

Ostatnie badania jednak wykazały, że korzyści, płynące z bijących piorunów są większe, jak szkody przez pioruny wyrządzone. Ustalono bowiem, że w czasie burzy wskutek siły uderzeń piorunów, ziemia otrzymuje dużą ilość azotu w formie saletry, a więc nawozu, którego rośliny same nie są w stanie stworzyć, i który musi być sztucznie doprowadzony. Ponieważ przeciętnie rocznie glob ziemski ma 16 milionów burz, dziennie 44.000, oblicza się „produkcję" salery przez pioruny na sto milionów ton. Jest to ilość, która wysoce przewyższa produkcję sztucznych nawozów, wytwarzanych przez fabryki W ten sposób okazuje się, że pioruny, które oskarżamy o straszne szkody — w istocie w naturze odgrywają bardzo pożyteczną rolę.



13.000 koron na bruku

Policja sztokholmska poszukuje niejakiego Persena, nędzarza, żyjącego ze zbierania odpadków w śmietnikach, by mu wręczyć zgubiony skarb w postaci paczki, zawiniętej w brudne szmaty, zawierającej 13.000 koron.

Historia tej paczki mogłaby figurować w jednym z chaplinowskich filmów. W jednym z domów przy placu Engelbrechta portier natknął się na nędznie odzianego i dość podejrzanego wyglądającego osobnika lat około 60. Sądząc, że to żebrak, portier nakazał mu opuścić niezwłocznie dom. — Schodząc z trzeciego piętra, osobnik zgubił paczkę zawiniętą w szmatę i owiązaną sznurkiem. Paczuszkę tę znalazła jedna ze służących i zaniosła swej pani na 5-te piętro. Pani wzięła paczkę w rękę i ze oburzeniem cisnęła na podwórze. Nazajutrz rano ta sama służąca znalazła znów paczkę tę i tym razem otworzyła ją. W paczce znajdowało się w bilonie i w banknotach 13.000 koron szwedzkich i książeczka oszczędnościowa na nazwisko Persena.

Paczkę wraz z książeczką odniesiono na policję, która obecnie poszukując właściciela skarbu i książeczki, zdołała ustalić jedynie, że człowiek o tym nazwisku, odpowiadający rysopisowi podanemu przez portiera, trudni się zbieraniem odpadków na podwórzach w śmietnikach.

Biuro nieistniejących adresów

W stolicy filmu, Hollywood, istnieje niezwykle biuro adresowe, którego zadaniem jest wyszukiwanie nazwisk, adresów, numerów telefonu i marek samochodowych, których w ogóle... nie ma na świecie. Roli tego biura nie należy lekceważyć, od jego sprawności bowiem zależy ochrona autorów scenariuszów filmowych przed dużymi nieprzyjemnościami i procesami o znaczne odszkodowania, a nawet niejednokrotnie przed zakazem wyświetlania filmu, o ile figuruje w nim nazwisko czy adres jakiejś istniejącej w rzeczywistości osoby.

Filmy amerykańskie często wyświetlają sceny z życia milionerów, mocno zbliżone do rzeczywistości, przy czym do tytułu zawsze dodaje się zapewnienie, iż wszystkie postacie są wytworem fantazji. Zapewnienie to musi być poparte fikcyjnością nazwisk, adresów i innych szczegółów, aby nikt nie mógł protestować. Biuro nieistniejących adresów zatrudnia cały sztab pracowników, którzy werbują nieustannie wszystkie możliwe książki adresowe, telefoniczne itd. Pobiera ono też bardzo wysokie honoraria od wytwórni filmowych, lecz za to samo ponosi ryzyko ewentualnych pomyłek i ich smutnych następstw.

Flegmatyczna policja w Bukareszcie

W Bukareszcie mimo, że to miasto południowe, a południowcy, jak wiadomo, mają skłonność do hałaśliwej gadatliwości i gwałtownej gestykulacji, — policja stołeczna, czuwająca na porządkiem z podziwu godnym spokojem i nieledwie angielską i bezpieczeństwem ruchu ulicznego, zachowuje się flegmą!

Ani jeden z policjantów nie krzyczy, nie denerwuje się, nie wymachuje rękami!

Gdy któryś z szoferów przekroczy przepisy o ruchu, policjant, zatrzymawszy go ruchem pałeczki, zbliża się doń, nie mówiąc ani słowa, notuje jego numer, po czym spokojnie wraca na swój posterunek, a szofer odjeżdża...

Skąd ta flegma u południowców? — zapytacie, ano po prostu stąd, że w charakterze regulujących ruch uliczny policjantów, zatrudnieni są podobno głuchoniemi!...

Nowe dźwigi w porcie gdyńskim

W ciągu r. b. zmontowano w porcie gdyńskim ogółem 11 nowych dźwigów zwiększając w ten sposób ogólną ilość mechanicznych urządzeń przeładunkowych w porcie gdyńskim do 88, w czym 82 dźwigi portalowe i półportalowe o nośności 1,5—7 ton, 3 dźwigi mostowe o nośności 5,2—11,5 ton, 1 wywrotnica wagonowa o zdolności przeładunkowej 400 ton na godzinę i 2 wywrotnice z urządzeniami taśmowymi, każda o zdolności przeładunkowej 600 ton na ogdzinę.

Drogi tulipan

Po długoletnich próbach udało się ogrodnikom holenderskim wyholować specjalną odmianę tulipana w kolorze pomarańczowym, który pokazano obecnie po raz pierwszy na wystawie kwiatów w Vegelenzang.

Nowy tulipan łączy w sobie dwa holenderskie symbole. Jest ulubionym kwiatem mieszkańców tego kraju i ma równocześnie barwę królewskiego domu holenderskiego.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

ST. ROSLEWSKA

Pielgrzym

Pani Zofii oraz Wujkowi Januszowi poświęcam

Światło.

Niebieskość przestrzeni okrasiły blaski słoneczne, złociste groty przeszyły ciemność po-

rańkową. Wtedy wszedł na drogę człowiek samotny, komu nieznany.

Nikt go nie żegnał od progu... Młodzieńczą smukłą postać otulała podróżna opończa. Pielgrzym stanął na progu chaty, ręką osłonił oczy, co się od blasku słonecznego przymrużyły, popatrzał na drogę wijącą się w bezkres pól...

Uśmiech przewinął się po licach młodzieńca, uśmiech zapalił w jego oczach skry, uśmiech zaczaił się na ustach.

Człowiek stał chwilę wpatrzony w walkę świa tła z cieniem, a gdy słońce zwycięsko wtoczyło się na nieboskłon, zakreślił na czole znak Krzyża świętego i ruszył w drogę.

Szedł, bo go wiodła tęsknica przepotężna, wkręta w duszę. Bo z tej dali niedosięgnionej wzrokiem wybiegło ku niemu wołanie... mamiło go coś stamtąd słodką obietnicą szczęścia.

Szedł, bo się nie mógł oprzeć tej sile mocarnej, która go wiodła w Nieznane. Poranek był cichy, prześwietlony słońcem, droga równa i gładka. Po obu jej stronach leżały pola mokre od ros, kołebiące się szmaragdem zbóż bezkłosnych jeszcze. Oczy Pielgrzyma z zachwytem przyjęły do krajobrazu, jakby chciały wchłonąć i utrwalić na zawsze to piękno. Wiosna była w pełni swego królewskiego przepychu, tyle kwiecia barwnego zdobiło zielony kobierzec ziemi. W powietrzu drgały hymny skowrończe. Radosne, pełne treści.

Usta młodego Pielgrzyma poruszały się cicho, snać w modlitewnym szepcie. Słowa bezgłośne wypływały z głębi duszy uczuciem przepełnionej, drżały chwilę na wargach, a potem ginęły gdzieś między niebem i ziemią.

— Dziękuję Ci, Przedwieczny, za te pola skąpane w słońcu, za tę jaśń ponad łanami rozprzestrzenioną, za ten bezmiar lazurów nad światem rozpięty...

— Dziękuję za te kwiecie na mej drodze, za tyle wiary we własne siły, za ciszę, która jest nade mną, koło mnie, we mnie samym. Za cud życia dziękuję Ci, o Niepojęty!

A słońce zanurzyło promieniste dłonie w gładkiej toni jeziora, obmyło lica złociste w chłodnej fali i jak armatnia kula potoczyło się parabolą wzwyż. Pielgrzym stale szedł swoją drogą. Mijały godziny porankowe, zmieniał się stopniowo krajobraz przed oczyma. Już ucichły srebrzyste kaskady skowronczych pieśń, zostały w oddaleniu kwietne kobierce, a droga, prosta i gładka dotąd, wyginała się między miszami w dziwaczne skręty, zas stopy wędrowca niekiedy trącały o kamień. Raz po raz podnosił oczy ku gorze, a widząc że słońce się zbliża do zenitu przyspieszał kroku. Bo przecież musiał dojść do celu, do końca tej dziwnej drogi...

Zmęczenie gasiło stopniowo złociste skry rozmigotane skry w jego oczach. Usta już nie poruszały się modlitewnym szeptem, lecz zaciskały się coraz bardziej w miarę przebytej drogi, niekiedy nawet wyrywało się z nich westchnienie lub nagle syknięcie, gdy ostry kamień zranił stopę bosą.

Już się nie perliły łzami ros łany i nie kołebały się na kształt szmaragdowej topieli. Złociły się natomiast chlebnym kłosem. Słońce prażyło niemiłosiernie, a po twarzy wędrowca spływały krople potu.

Było południe.

Wtedy przystanął na środku wielkiej drogi, dłońmi otarł spocone czoło, a potem ręce opuścił ku ziemi. Obejrzał się poza siebie.

Kwieciste łąki zostały tam, gdzie się zaczynała ta droga. Jak prostą i gładką zdawała się być ona, gdy przemierzał jej pierwszy etap. A jednak — tyle na niej załamań, tyle ostrzy i skał.

Wzrok pielgrzyma wybiegł w przestrzeń, jakby szukając kresu drogi. Daleko być musiał, gdyż nie dojrzał go w pyle. Pielgrzym stał bezradny, nie wiedząc w którą udać się stronę, czy wrócić do pól pozostawionych za sobą, czy też kroczyć dalej przed siebie?

Zmęczony był nie tyle drogą, ile raczej samotnością.

A gdzież są jego bracia Pielgrzymi?

Trzeba odpocząć chwilę i znowu iść wytrwale, niestrudzenie. Naprzód. Osunął się na trawy zielone i strudzoną głowę oparł o miedzę, ponad którą szumiały leciuchnym szmerem złociste kłosy.

Słońce pieściło jego ogorzałe lica, sen zamknął niebieskie oczy. Samotny człowiek spał. I oto dziwna rzecz — zdawało mu się, że jest robakiem, który powolnym ruchem pełznie przez drogę, ogromnie mały i ogromnie zagubiony w otaczającym go świecie.

Mozolna wędrówka robaczka chyba nigdy nie będzie miała końca?... Nagle, nad jego maleńką istotą wznosi się czyjaś stopa brutalna, nieubłagana, która za chwilę zmiażdży go i zetrze w proch. Przerażenie maluje się w oczach. Kurczy się ciało liche i nędzne, a tylko mocno drży w nim serce. Wielkie ludzkie serce.

Żyć! Żyć! — to jedno pragnienie wobec grozy śmierci, na którą czeka jako na fakt niezmienny, konieczny, nieubłagany.

Wtedy staje się coś nieoczekiwanego, coś czego zrozumieć nie może. Jakaś postać jasna z siłą odpycha brutalną stopę, a schyla się i w dobre dłonie ujmuje liche stworzenie. Robaczek drży w przedśmiertelnej trwodze, lecz dłonie żadnej mu nie czynią krzywdy. Łagodne słowa spływają z ust jasnej postaci: Żyj — ciesz się ze słońca — i kochaj życie ty robaczku nędzny i lichy.

Miłością jestem, która najmniejsze istnienie wyolbrzymia i nadaje cel temu istnieniu.

Żyj i kochaj słońce — ten symbol dobroci.

Usta schylają się i dotykają go, w tej samej chwili staje się cud: Mały robaczek czuje, że mu rosną skrzydła. Więc się zrywa i oszalały ze szczęścia rozwija lot byle dalej, byle bliżej do światła!

Pielgrzym się zbudził, spojrzał na słońce, które schyliło się już w stronę zachodnią i wyciągnął ku niemu ramiona.

— O Przedwieczny, coś słońce zapalił na niebie — pozwól mi jego blaski zamknąć w duszę, by nie zwątpić w światło, skoro nadejdzie mrok!

I znowu poszedł drogą, która się pięła pod górę. — Pytałem, gdzie są bracia Pielgrzymi, a przecież to zrozumiałe, że tyle musi być dróg, ile jest ludzkich istnień. Każdy kroczy swoją drogą, ale musi być miejsce, gdzie się one przetną, musi być czas, w którym się spotkają ze sobą wędrowcy.

Złociste kłosy ciężkie od ziaren chylą się ku ziemi, a Pielgrzym idzie, wiedzion potężną mocą, która nie ma nazwy. Jak długo trwać będzie samotność na tej drodze bezkresnej? Czy zawsze? To być nie może!

— O Ty, któryś nakazał iść tą drogą — Ty jeden Wszechwiedzący daj mi duszę samotną jak moja, duszę jak moja zmęczoną — abyś my podali sobie dłonie i wsparli się wspólnie na tej coraz trudniejszej drodze. Niech nas uskrzydli Miłość i zawiedzie ku słońcu!

Pielgrzym wierzył, niezłomnie wierzył, że spotka ją, tę duszę bratnią, że skończy się samotność i pustka.

Nagle dojrzał na skrzyżowaniu dróg postać, opartą o biały pień brzozy. Serce zatrzepotało w nim radośnie w przeczuciu, że się skończy męka odosobnienia. Że oto razem pójdą do kresu.

Witaj — zawołał, zbliżając się do niej. Niewiasta podniosła nań oczy pełne wewnętrznego zmagania się ze sobą i cicho odpowiedziała: — Witaj. Kto jesteś, Pielgrzymie i skąd przychodzisz?

Wiodła mię potężna siła, co zwie się pragnieniem szczęścia. Do ciebie tęskniłem godziny długie, jak Wieczność cała. O tobie myślałem, idąc polną drogą. Wiedziałem, że się spotkamy. Podaj dłonie. Pójdziemy dalej nie po to, by się spychać wzajemnie ze zbocza gór w doliny, ale po to, by pomóc sobie we wspinaniu się coraz wyżej i wyżej. Tak już przeznaczył Ten, który w dusze ludzkie wklina tęsknotę za słońcem...

— Za późno. Czekałam na cię długo. Zmagałam się z wiatrem i słotą. Raniłam ręce o ostrza skał. Tyś nie przychodził. Przestałam wierzyć i czekać. Za późno!... Dzień się chyli ku zachodowi i droga dobiega kresu. Za późno wyszedłeś ze swojej chaty, wędrowcze, drogi nasze zbiegają się za późno.

Każde z nas pójdzie jak dotąd samo... Nie ty i nie ja winniśmy temu. Widzisz? — Słońce się kryje za chmury. Żegnaj Pielgrzymie!

I oddaliła się powoli, wiotka, cicha, a Pielgrzym stał na rozstaju dróg, bo słowa zasłyszane wbiły się w świadomość, jak ciernie w żywe ciało.

I po to szedł tyle godzin? Po to rzucił ukwiecone łąki? Po to zostawił za sobą świtanie, by ujrzeć jak chmury skrywają słońce?...

Pochylił głowę, a potem wolno ruszył przed siebie. Po obu stronach drogi stały drzewa, z których gałęzi podmuchy wiatru jęły strącać liście pożółkłe, ciągnęły się rżyska, zasnute pajęczyną...

Byli tacy, którzy siali wiosną i jesienią zbierali plony — a ja? — pomyślał z goryczą.

Słońce zniżało się coraz bardziej niby senna głowa złotowłosej dziewczyny, chyląca się na ramię ukochanego. Uśmiech znikł z oblicza wędrowca. Był samotny, taki bardzo samotny u kresu tej dziwnej drogi...

Wszystko teraz stało się jasne, proste i zrozumiałe. Nie wolno ci było Pielgrzymie odpoczywać w cieniu złotokłosych zbóż, nie wolno było patrzeć bezczynnie na pola ciągnące się po obu stronach drogi.

— A gdyby zawrócić raz jeszcze od nowa? To koniec!

Dziwnej drogi to kres. Choćbyś niewiadomo jak pragnął, nie wrócisz skądżeś wyszedł o świtaniu.

Ty odejdziesz w mrok Zapomnienia, bo dzień twój się skończył. Po tobie inni pójdą tak samo... bo życie to dziwna droga, a ludzie to Pielgrzymi, którzy wychodzą o świtaniu i kończą wędrówkę o zmroku...

— — — — — — — — —

Znowu świt zaróżowił niebo, skowronki śpiewały nad polami, perliły się krople rosy na szmaragdowej toni traw...

I znowu na drogę ginącą w bezkresach pól wyszedł człowiek samotny, pełen wiary we własne siły nieświadom kresu tej drogi.

I znowu śmiało się słońce na lazurze, tak jakby się nic nie stało, jakby się nikt nie zapadł w mrok.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ul. Witold Mataczyński, Łysinin.

	się	wi	
dła	ła	chwy	sto
mie	bzę	u	Kto
	ta	ko	

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

SŁUPKI

ul. „Irusia z Wołynia".

d	g	i	z	e
i	d	b	a	e
u	ł	e	i	m
z	o	f	e	a
b	m	b	a	ę
o	p	l	ś	

Przestawić słupki w ten sposób, aby odczytać stare przysłowie polskie.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 9 czerwca br.

Rozwiązanie zadań z numeru 21 „Moich Powieści":

I. Układanka: Niechaj każdy to pamięta, że dla biednych też są święta.

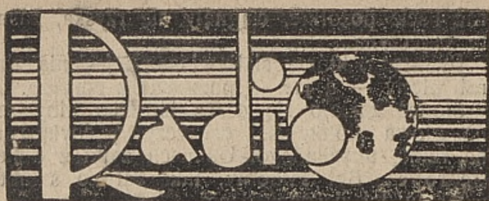
II. Logogryf: „Moje Powieści".

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Janicka Kazimiera — Gogołów, Wyleżałek Paweł, „Królowa Gizella", Ptakówna Władysława, Gubotkowski Mieczysław — Krynki, Sindecka K. — Warszawa, Lenart Tadeusz — Rakowice.

Nagrody w drodze losowania przypadły Janickiej z Gogołowa i Sindeckiej z Warszawy.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

W numerze 20 zakradł się błąd w objaśnieniu do zdjęcia zamku w Mirze. Wyjaśniamy że miejscowość Mir leży w pow. stołpnickim woj. nowogródzkiego, a nie w woj. krakowskim, jak mylnie podawaliśmy.



Niedziela, dnia 4 czerwca 1939 r.

7.00 Audycja poranna 10.00 Transmisja z Ossowa — reportaż; mszę św. odprawi i kazanie wygłosi ks. biskup polowy W. P. dr. J. Gawlina; uroczystość odsłonięcia pomnika ks. Ignacego Skorupki. 12.03 Poranek muzyczny 13.15 Muzyka obiadowa z Wilna 14.45 „Czytamy Mickiewicza" — audycja I 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Koncert solistów z Torunia 17.15 „Tajemnice stowarzyszenia w Liberii" — felieton Kamila Giżyckiego 17.30 Koncert rozrywkowy — transm. z Domu Żołnierza w Poznaniu 19.00 Teatr Wyobraźni: „Klub Pickwicka — wiecz. I-szy „Pickwickiści u siebie" — 19.30 Festiwal śpiewaczy na Wawelu z Krakowa 20.10 Międzynarodowe zawody konne w Warszawie — transmisja fragmentów konkursu o nagrodę Polski (Puchar Narodów) 20.55 Muzyka taneczna 21.30 Transmisja fragm. międzypaństwowych meczów piłkarskich Polska — Szwajcaria, Polska — Bułgaria 22.15 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 5 czerwca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 13.00 Orkiestra Pułku Legii Akademickiej i Chór Orlanda (pl.) 13.30 „Chopin" — audycja dla młodzieży gimnazjalnej 14.45 Teatr Wyobraźni dla młodzieży: „Przygody dr. Mucholapskiego" — słuchowisko cz. I 15.15 Muzyka popularna z Poznania 16.20 „Na wiosenną nutę" — śpiewa męski Chór Nauczycielski przy Instytucie Pedagogicznym w Katowicach 17.00 Muzyka taneczna z płyt 18.00 „Echa Francji w Kanadzie" — audycja z Wilna 18.25 „Muzyka dawnych mistrzów" — koncert kameralny 19.00 Audycja żołnierska 19.30 „Muzyka przy wieczerzy" 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Utwory Claude Debussy'ego w wyk. B. Woytowicza 21.30 „Echa mocy i chwały" 21.35 Recital śpiewaczy Adelny Korytko-Czapskiej 22.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 6 czerwca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 14.45 „Samotni żeglarze": „Podług słońca i gwiazd" 15.00 Muzyka popularna 16.20 Utwory klarnetowe w wyk. A. Makowskiego 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Arie i pieśni w wyk. St. Krauzera 18.25 Koncert w wyk. Margarity Trombini - Kazuro klawesyn i Mieczysława Szaleskiego — viola d'amore 19.00 Audycja dla robotników 19.30 „Przy wieczerzy" — w wyk. Orkiestry Wileńskiej 20.25 Audycja dla wsi 21.00 „Sławne koncerty" — „Lipiński i Paganini w Warszawie" 21.45 „Sprawiedliwość" — odczyt 22.00 Koncert muzyki klasycznej.

Środa, dnia 7 czerwca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 14.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.15 Muzyka popularna ze Lwowa 16.20 Pieśni Jana Brahmsa — koncert z Wilna 16.45 „Życie kwiatów": „Dla kogo kwiaty kwitną" — pog. 17.00 Muzyka taneczna 18.00 „Słynne symfonie" — koncert z płyt 19.00 Teatr Wyobraźni: „Klub Pickwicka" — „Pierwsza podróż i pierwsze przygody" — wiecz. II 19.30 Muzyka przy wieczerzy z Poznania 20.10 Odczyt wojskowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Koncert chopinowski w wyk. J. Turczyńskiego 21.40 „Filozofia i służba wojskowa" — szkic lit. 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 8 czerwca 1939 r.

7.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja z Płocka: nabożeństwo i kazanie 11.00 Koncert z płyt 11.30 „Święto sportu ziemi lubelskiej" — montaż dźwiękowy 12.03 Poranek muzyczny 13.00 „Szukajmy przyjaciół" — felieton 13.15 Muzyka obiadowa z Wilna 14.40 „Wojsko polskie": „Idziem, gdzie wódz nasz kochany" audycja dla młodzieży 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Koncert solistów 17.15 „Echa mocy i chwały" 17.30 Koncert rozrywkowy 18.50 „Znaczenie gospodarcze Ziem Wschodnich" — przemówienie min. Mariana Zyndram - Kościałkowskiego z okazji Tygodnia Ziem Wschodnich 19.00 Teatr Wyobraźni: „Czwarty sejm króla Stefana" — słuchowisko F. Goetla 19.30 Fragmenty oratorium „Św. Teresa od Dzieciątka Jezus" — koncert 19.50 Muzyka 21.15 Muzyka rozrywkowa 21.40 „Księżycowy kawaler" — słuchowisko 22.10 Muzyka filmowa — transmisja z Londynu 23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 9 czerwca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 14.45 „Samotni żeglarze": „Śladami Jacka Londona" 15.00 Muzyka popularna 16.10 „Czego chce od nas Małopolska Wschodnia" — pog. 16.20 Koncert kameralny 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Utwory na śpiew i wiolonczelę — koncert 19.00 „Książki do których się wraca" „Pan Tadeusz" 19.30 „Przy wieczerzy" — koncert z Poznania 20.25 Audycja dla wsi 21.00 „Cyrulik sewilski" — opera komiczna Rossiniego z płyt 21.40 W przerwie: O Rossinim i „Cyruliku" — szkic lit.

Sobota, dnia 10 czerwca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół: 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 14.45 „Jak Małgosia mała z brudaską czyścioszkiem się stała", „Zrobił Maciej kozła ogrodnikiem" — obrazki słuchowiskowe dla dzieci 15.15 Muzyka popularna z Wilna 16.20 Trio Polskiego Radia" — koncert 16.45 „Z życia kwiatów" „Kwiaty wabią" — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Transmisja z Lublina: Festiwal pieśni polskiej 18.30 Utwory skrzypcowe w wyk. Wlad. Wochniaka 18.55 „Charaktery" — „Aleksander czyli fabryka projektów" — powieść mówiona H. Boguszewskiej i J. Kornackiego 19.15 Transm. z sali Rady Miejskiej — fragm. uroczystości Tygodnia Ziem Wschodnich 19.30 Audycja dla Polaków za granicą 20.00 „Melodie ziemi polskiej": „Wileńszczyzna w pieśni i tańcu" 20.25 Audycja dla wsi 21.10 „Wróg muzyki" — operetka w 1-ym akcie 22.05 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry 23.15 Muzyka taneczna — transm. z Londynu.



SPECJALISTA

Sędzia: — Jak oskarżony wyciągnął temu panu zegarek z kieszeni kamizelki, mimo, że miał zapiętą marynarkę?

Oskarżony: — Chętnie to panu sędziemu pokażę, ale kurs złodziejstwa kieszonkowego kosztuje u mnie 200 złotych.

PIĘKNE EPITAPHIUM PRZEWODNIKA

W Valtournanches, w Alpach, jest cmentarzyk, jedyny w swoim rodzaju: spoczywają tam tylko przewodnicy alpejscy. Tam spoczął również zmarły przed niewielu dniami Amato Maquignaz, zwany „bohaterem Matterhornu", znany z niezwykłej odwagi i wyjątkowego szczęścia.

Na płycie grobowej kazał sobie wyryć dumny napis:

„Umarł, ale nie spadł".

Nie spadł istotnie ani razu i ani razu nie spadł mu żaden z alpinistów, których prowadził. Toteż prawdą musi być historia, jaką opowiadają o nim i o pewnym Angliku.

Przy placeniu rachunku przewodnikowi, Anglik chciał wykorzystać spadek lira. Maquignaz zaprotestował.

— Ależ lir spadł — próbował targować się Anglik.

— Ja nie wiem, co to znaczy spadać — odpowiedział Maquignaz.

I otrzymał tyle, ile zażądał.

SIR ERYK PHIPPS I POLOWANIE NA ZAJĄCE

Sir Eryk Phipps, goszcząc na bankiecie pewnego stowarzyszenia w Paryżu, opowiedział przy deserze następującą anegdotę.

Anglik, nie umiejący po francusku i Francuz, nie umiejący po angielsku, polowali razem na zające. Padają dwa strzały, ale jeden tylko zając.

— Ja go zabiłem! — woła Francuz i tłumaczy to na migi.

— Nie, ja — odpowiada Anglik, wskazując na siebie.

— Niech go pan bierze; jest pański — powiada Francuz.

— Nie, nie; on należy do pana — robi gest Anglik.

Dyskusja skończyła się przy stole i przy dobrej butelce wina.

— Między gentlemanami — zakończył sir Eryk — porozumienie bywa zawsze łatwe. Anglia z Francją prowadziła wojny, ale i wtedy bywały gesty wysokiej kurtuazji, na przykład — pod Fontenoy. A teraz to jest tak: są dwa rodzaje zatargów międzynarodowych. Jedne, które mogą nam być narzucone i w których trzeba będzie występować, aby bronić naszej cywilizacji, oraz drugie, które stanowiły by zbrodnię przeciw tej właśnie cywilizacji. Do tych drugich hnależał by konflikt między Anglią i Francją, rzecz, której istnienie nasi mężowie stanu wyłączyli z możliwości już od wieku.

Nie potrzeba dodawać, że zarówno anegdota, jak komentarz, nagrodzone zostały rzęsistymi oklaskami.

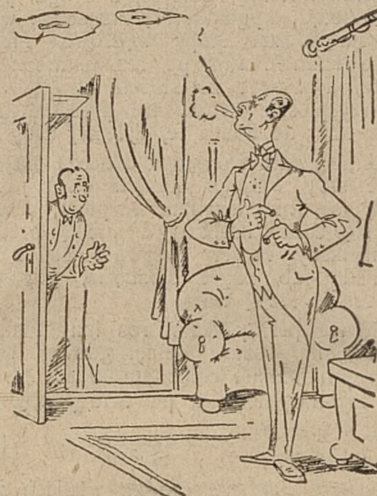
ABSOLUTNA RÓŻNICA

Rzecz dzieje się w londyńskim teatrze „Drury-Lane" podczas przedstawienia „Antoniusza i Kleopatry" Szekspira.

Zbliża się scena, w której Kleopatra dostaje wiadomość o klęsce Marka Antoniusza. Piękna monarchini wpada w szał, morduje gońca, płacze, krzyczy, niszczy sprzęty i w końcu pada na łoże, wstrząsana histerycznym szlochem.

Sędziwa lady, siedząca w drugim rzędzie, zwraca się szeptem do małżonka:

— Jakże inaczej wyglądałoby życie rodzinne naszej dobrej królowej Wiktorii...



— Niech szofer zajedzie po mnie o godz. siódmej do hotelu Adlon. Będę leżał pod trzecim stolikiem na prawo!

PRZEDPŁATA: już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedynczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 383. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych, 1/2 strony 225.— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 360 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 63 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedzialny: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.